ŁOWIEC POLSKI



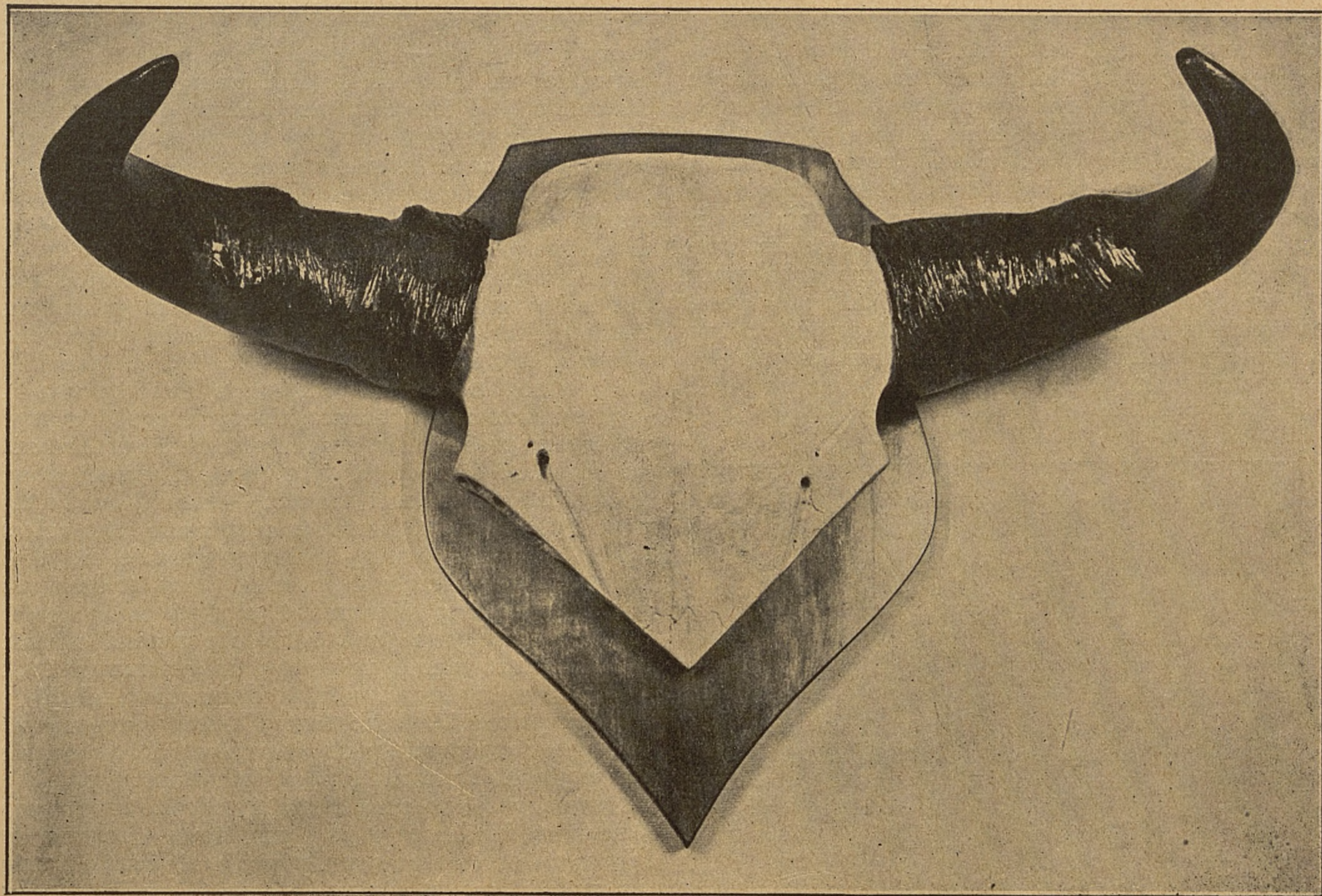
Już są koźlęta! Fot. A. Bądzyński



ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 12 (932) 15 CZERWCA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Reprodukcja rzeźby w drzewie, wykonanej jako model rogów żubra, które na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie uznane zostały jako rekord światowy. Autorem rzeźby-modelu jest gajowy lasów państwowych Białowieskiej Dyrekcji L. P. w Białowieży, St. Rak. Model zostanie odesłany do Muzeum Międzynarodowej Rady Łowieckiej w Paryżu, gdzie zgromadzone będą kopje wszystkich światowych rekordów.

O KLUBOWE ŻYCIE MYŚLIWSKIE

Był okres w dziejach naszej rodzimej kultury łowieckiej, gdy nie mieliśmy ani ogólnopolskiego związku łowieckiego, ani t. zw. ideowych zrzeszeń myśliwskich. Wszyscy mamy ten okres w żywej pamięci, bowiem konsolidacja myśliwych polskich w postaci organizacji ogólnopaństwowej jest tworem ostatnich lat kilkunastu, tworem zresztą niezupełnie zakończonym, gdyż, jak wiemy, spora jeszcze część myśliwych (posiadaczy kart łowieckich) nie należy do Związku.

Czyżby miało to oznaczać, że w okresie poprzedzającym powstanie Polskiego Związku Łowieckiego (początkowo p. n. „Centralnego Związku polskich stowarzyszeń łowieckich") praca na polu krzewienia kultury łowieckiej wogóle nie istniała, że nie było prasy i piśmiennictwa łowieckiego; że poza partykularyzmem dzielnicowych — skąpych, a często wręcz archaicznych — przepisów łowieckich nie było hamulców innego rzędu, hamulców etycznych, kierujących pracą i postępowaniem myśliwego?

Wiemy wszyscy dobrze, że bynajmniej nie było tak źle. Wiemy, że jedno z naszych czasopism fachowo-łowieckich obchodziło niedawno 60-lecie swego istnienia. Wiemy, że nasz „Łowiec Polski" święcił przed dziewięciu mniej więcej laty jubileusz swego 500-go numeru i że niebawem obchodzić będzie uroczystość ukazania się numeru 1000-go. Wiemy również, że z literaturą fachowo-łowiecką też było nienajgorzej, jeżeli wspomnę choćby tylko o wydanym jeszcze w r. 1903, nader cennym na owe czasy „Przewodniku dla myśliwych" St. Rewieńskiego. Czy przytoczone efekty przedwojennej kultury łowieckiej były wyłącznie dziełem jednostek lub garstki jednostek? I tak i nie. Bezsprzecznie przy ówczesnem rozproszeniu, niezorganizowaniu „braci myśliwych" praca jednostek wysuwała się na czoło... Ale już wtedy istniał zalążek lub, jak kto woli, surogat powszechnej organizacji ideowo-łowieckiej. Zalążkiem tym były — rozproszone wprawdzie po całym kraju, niezwiązane ze sobą organicznie, niemniej jednak owiane naogół jednakową ideą — t. zw. towarzystwa, kółka, kluby myśliwskie.

O tych dawnych klubach myśliwskich możnaby pisać całą historję. Niektóre z tych klubów (towarzystw) zasługują w pełni na gruntowne monografje, że wspomnę mimochodem o słynnem, mającem wręcz historyczne zasługi Lisowickiem Tow. Łowieckiem (patrz „Łowiec" lwowski z r. 1933 nr. 8—11 oraz 13—16). Istniały jednak dziesiątki, a może nawet setki innych klubów, kółek, towarzystw myśliwskich, o których kroniki milczą, a które obok uprawiania polowania krzewiły wśród swych członków etykę myśliwską i umiłowanie przyrody, tudzież przygotowywały stopniowo grunt pod ideowo-łowiecką organizację myśliwych. Niektóre z tych zrzeszeń już nie istnieją, inne uległy gruntownej reorganizacji, nieliczne przetrwały po dzień dzisiejszy. W tem miejscu chciałbym wspomnieć o pewnej organizacji łowieckiej, której znaczenie dla rozwoju kultury łowieckiej na ziemiach polskich jest albo nieznane, albo niedoceniane. Mam na myśli



Wiosenne rozlewiska Prypeci. Fot. J. Bończa Markowski

rosyjskie „Cesarskie Towarzystwo racjonalnego polowania", mające oddziały prawie we wszystkich miastach gubernjalnych (wojewódzkich) b. imperjum rosyjskiego, a które również na ziemie polskie zaboru rosyjskiego rozciągnęło swą działalność. Wspomniane Towarzystwo miało przedewszystkiem cechę ogólnopaństwowej powszechności. Powtóre — przyczyniło się walnie do wydania nader „współczesnej", jak na owe czasy, ustawy łowieckiej z r. 1892. Wreszcie — położyło olbrzymie zasługi na polu piśmiennictwa łowieckiego, wydając w ciągu kilkudziesięciu lat równocześnie dwa czasopisma łowieckie „Priroda i ochota" i „Ochotniczaja gazieta" — czasopisma, którym nasza współczesność łowiecka — i to w skali europejskiej — mogłaby pozazdrościć doboru i poziomu treści! Jakże w porównaniu z temi dwoma czasopismami nędznie i „klasowo"(!) prezentuje się jedyny miesięcznik łowiecki w dzisiejszym Z.S.R.R., noszący wojowniczą nazwę „Bojec-Ochotnik"!...

Dawne kluby (towarzystwa, kółka) myśliwskie tworzyły się najczęściej z egoistycznych i czysto praktycznych pobudek. Były to, tak samo zresztą jak i dzisiaj — kooperatywy myśliwskie, złożone z większej lub mniejszej ilości członków, którzy zosobna nie mieli środków lub czasu na samodzielne dzierżawienie i utrzymanie terenów myśliwskich, oraz na organizację polowań na tych terenach. W drugiej połowie XIX stulecia, gdy hasła spółdzielczości w innych dziedzinach (wytwórczości, handlu etc.) dopiero ząbkowały, kluby myśliwskie już osiągnęły niemal skończoną formę „spółdzielczości myśliwskiej" i były bardzo rozpowszechnione, przeważnie (z natury rzeczy) wśród myśliwych — mieszkańców miast, nie mających ani czasu, ani możności organizowania polowań indywidualnie. To też (tak, jak i dzisiaj) duszą takiego klubu myśliwskiego był t. zw. łowczy, na którego barkach leżały zadania nader różnorodne: organizacja polowań, prowjantowanie większych ekspedycyj, troska o środki lokomocji, nadzór nad strażą łowiecką, ustalanie kolejki polowań indywidualnych etc.

Jakkolwiek kooperatywy myśliwskie były tworzone dla celów bezpośrednio praktycznych, to jednak niemal automatycznie pełniły one doniosłą rolę wychowawczą. Istotnie — zwykły interes klubu, jako całości, nie mógł znieść w swem gronie kłusownictwa lub wyłamywania się z pod ustanowionych reguł. Tworzyła się w ten sposób t. zw. etyka koleżeńska, urabiały się kanony, dziś ogólnie przyjęte i niemal wyświechtane, a ongiś mające posmak nowości — kanony „prawidłowego" polowania. Również interes klubu jako całości musiał wywołać troskę o niezmniejszanie się ilości zwierzyny: — zaczęła się tworzyć t. zw. etyka w stosunku do zwierząt łownych. Z biegiem czasu ogólnie przyjęte kanony (reguły) zaczęto przenosić z płaszczyzny praktyczno-egoistycznej do płaszczyzny ideowej. Zaczęto budzić wśród klubowców miłość do objektu polowań... Same nazwy klubów przyjmowały odpowiednie przymiotniki: towarzystwa „racjonalnego" względnie „prawidłowego" polowania i t. p.

Dawne, przedwojenne kluby myśliwskie kładły więc stopniowo fundamenty pod przyszłą — powszechną i ideową — organizację myśliwych. Jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, pra-zalążkiem Polskiego Związku Łowieckiego był jeden z warszawskich klubów myśliwskich. Wielka idea zjednoczenia myśliwych na gruncie pracy społecznej wyrosła więc z życia klubowego...

*

Dzisiaj, gdy Polski Związek Łowiecki rozwija się pomyślnie na podstawie nowej, trzystopniowej organizacji (centrala, województwo, powiat), gdy Związkowi naszemu przysługuje faktyczna wyłączność pracy ideowo-społecznej, powstać musi z natury rzeczy pytanie: — jaką będzie w tym nowym ustroju rola naszych klubów (towarzystw, kółek) myśliwskich? Czy spadną one całkowicie do poziomu „kooperatyw", t. j. zrzeszeń utworzonych jedynie dla wspólnego uprawiania polowań na dzierżawionych terenach, czy też — odwrotnie — pozostawiona im będzie część zadań ideowo-łowieckich i — w jakim zakresie? Mniemam, że formalna odpowiedź na te pytania zawarta jest w przepisach nowego statutu związkowego, który nadaje stowarzyszeniom łowieckim, złożonym z członków (fizycznych) Związku, uprzywilejowane prawa członkowskie (§§ 6 p. b., 7 i 51 statutu). Autorowie nowego statutu związkowego wyszli ze słusznego założenia, że nietylko nie należy łamać względnie upośledzać wypróbowanych organizacyj klubowych, lecz odwrotnie — zręby nowej organizacji trzeba oprzeć na istniejących klubach (towarzystwach, kółkach), które dobrze się zasłużyły sprawie łowieckiej w przeszłości... I czy tylko w przeszłości?... Z wielu nasuwających się przykładów przytoczę przykład Koła Miłośników Łowiectwa w Warszawie, które, działając w ramach ogólno-związkowej organizacji, nietylko postawiło gos-

podarkę łowiecką na swych terenach na bardzo wysokim poziomie, lecz ponadto zasłużyło się na polu pracy czysto ideowej (np. wydanie monografji „Lis" J. Dylewskiego).

Wątpliwości więc nie ulega, że doniosła rola ideowa i wychowawcza klubów myśliwskich nietylko się nie skończyła, lecz odwrotnie — na mocy przepisów nowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego — przed klubami temi rozpościera się szerokie pole dalszego rozwoju w tym kierunku. Rola klubów myśliwskich w nowych warunkach rozwojowych da się streścić w niewielu wyrazach: — krzewienie ideologji Związku! W jaki sposób, jaką drogą mają docierać do myśliwych organa Związku, w pierwszym rzędzie — Łowczowie Powiatowi, jeżeli nie przez zarządy stowarzyszeń łowieckich?! Na jakiem forum mają być omawiane i dyskutowane bolączki terenowe, względnie zarządzenia organów Związku, jeżeli nie na zgromadzeniach klubowych?! Sądzę, że nie przesadzę zbytnio, jeżeli powiem, że cała przyszłość naszej organizacji zależy od należytego rozwoju życia klubowego stowarzyszeń związkowych.

Niestety jednak — nie wszyscy członkowie klubów (stowarzyszeń związkowych) zdają sobie sprawę z doniosłości tej roli. Pomimo, że mijają już dwa lata od chwili reorganizacji Związku, dotąd długi szereg klubów myśliwskich nie należy formalnie do Związku (jako członkowie — stowarzyszenia). Dotąd duża ilość naszych klubów, skądinąd bardzo porządnie zorganizowanych, nie rozumie korzyści wypływających ze statutowego uprzywilejowania ich, jako „członków-stowarzyszeń". Dotąd posiedzenia tych klubów nie odznaczają się wielką frekwencją, gdyż pp. członkowie, opłaciwszy dwie składki (klubową i związkową) i skorzystawszy z kilku polowań w sezonie, uważają, że zrobili już bardzo wiele i że resztę zrobi za nich Łowczy Powiatowy i inne organa Związku. Życie klubowo-myśliwskie zanika, lub — w najlepszym razie — nie rozwija się we właściwym kierunku i w tempie należytem. A szkoda! Bo wszak właśnie życie klubowe z jego gawędami, pozbawionemi sztywności posiedzeń oficjalnych, było łańcuchem skuwającym członków klubu w prawdziwą rodzinę myśliwską. Z takich gawęd nieraz rodziły się świetne pomysły, nieraz przy okazji niefrasobliwej gawędy więcej można było zdziałać na polu pracy ideowej, niż po całych godzinach debat urzędowych...

Życie klubowe zanika. Poza nielicznemi szczęśliwemi wyjątkami, głównym magnesem podtrzymującym to życie bywa brydż, a nawet mniej oficjalne gry „towarzyskie"... Sądzę, że nasze organa związkowe, a w pierwszym rzędzie pp. Łowczowie Powiatowi powinni zwrócić większą uwagę na to zjawisko i wpłynąć na kluby (towarzystwa, kółka) myśliwskie w kierunku ożywienia ich roli, wynikającej ze statutu Związku. Będzie to miało ogromne znaczenie, zwłaszcza dla życia myśliwskiego t. zw. „głuchej" prowincji, gdzie kluby myśliwskie mogą i powinny się stać ogniskami tego życia.

*

Nie rozpatrzyłbym wszechstronnie „zagadnienia klubowego", gdybym nie wspomniał o innych jeszcze zadaniach leżących przed naszemi klubami — o zadaniach s p e c j a l n y c h. Pod zadaniami specjalnemi rozumiem zadania, mające charakter wybitnie ideowy, a więc zasadniczo należące do kompetencji Związku i jego organów, które to jednak zadania lepiej byłoby ze względów czysto praktycznych przelać na s p e c j a l n i e w t y m c e l u u t w o r z o n e k l u b y. Wyjaśnię na dwóch przykładach o jakie to „zadania specjalne" mi chodzi.



Wczesną wiosną... Fot. St. Zd. M.

Przed kilku laty dość głośną była w świecie łowieckim polemika na łamach „Łowca Polskiego" w sprawie przyszłości polowań z gończemi. W związku z tą polemiką rozpisałem w wileńskich „Trąbkach myśliwskich" ankietę na ten temat. W ankiecie wzięło udział kilkunastu myśliwych kresowych, którzy unisono wypowiedzieli się za utrzymaniem tego rodzaju łowów, jako łowów o pięknych tradycjach, a dla zwierzostanu nieszkodliwych (?). Odpowiedzi na ankietę były ujęte w tę lub inną formę, lecz co do treści były jednakowe. Uczestnicy ankiety zgodnie biadolili nad ustawodawstwem, które, zdaniem ich, utrudnia polowanie z ogarami; potępiali „wrogów" psów gończych, wrogów wyimaginowanych (jako że wrogów takich wogóle nie było, a byli tylko pesymiści, nie wierzący w renesans polowań z ogarami); wreszcie — w stylu mniej lub więcej kwiecistym rozwodzili się nad czarem gonu... Z tem wszystkiem ani jeden, dosłownie ani jeden uczestnik ankiety, nie zastanowił się nad rzucającym się w oczy faktem, że „myślistwo z ogary" nietyle kłoni się ku upadkowi, ile właściwie już upadło (jeśli nie liczyć rozsianych tu i ówdzie, niby nieliczne oazy w pustyni, łowisk, gdzie jeszcze trzymane są psy gończe). Na zakończenie wspomnianej ankiety sam w niej wziąłem udział, narówni z innymi uczestnikami, i wysunąłem k o n k r e t n y projekt ratowania od zagłady zarówno samego polowania z gończemi, jak i — rasy psów gończych. Moja odpowiedź na ankietę brzmiała mniej więcej jak następuje:

— Przyczyną upadku „myślistwa z ogary" nie jest ani ustawa łowiecka rzekomo krępująca amatorów tego rodzaju polowania, ani rzekomo „wrogie" nastawienie pewnego odłamu myśliwych. Istotną przyczyną tego upadku jest zdeklasowanie się, a nawet — powiem mocniej i wyraźniej — degeneracja przeciętnego typu myśliwego-gończarza. Poza wyjąt-

kami (które, jak wiadomo, potwierdzają regułę) nielicznych łowisk, utrzymujących psiarnie mniej lub więcej rasowych gończych i mających odpowiednie tereny dla tego rodzaju polowań, polują z gończemi ras podejrzanych (mieszańcami, „podrasowanemi" kundlami) „szaraczkowie", których uprawnienia terenowe są zarówno w świetle ustawy, jak i pod kątem widzenia dobrych obyczajów sąsiedzko-łowieckich, conajmniej wątpliwe. Jeżeli amatorzy polowań z gończemi (a ilość uczestników ankiety świadczy, że powinno ich być sporo) zechcą od słów przejść do czynu i pragną szczerze renesansu „myślistwa z ogary", powinni założyć klub (towarzystwo) miłośników ogarów, czy też miłośników polowania z ogarami (bo mniejsza o nazwę!) i wspólnemi siłami: 1) dzierżawić odpowiednie tereny dla tego rodzaju łowów, 2) prowadzić hodowlę rasowych psów gończych, między innemi w celu odrodzenia nieco już legendarnej rasy „polskiego" ogara, 3) utrzymywać fachowego dojeżdżacza, któryby mógł jednocześnie być nadzorcą psiarni i „łowczym".



Fot. Gen. Cz. Jarnuszkiewicz

Mam głębokie przekonanie, że projekt mój w razie wcielenia go w życie byłby jedyną i ostatnią próbą odrodzenia polowań z gończemi. Gdyby się ta próba nie udała, byłoby to dowodem, że nie mamy rasowych gończarzy (nie gończaków!) i że nie mamy dla kogo hodować psów gończych i wskrzeszać ginącego rodzaju łowów... I nad „myślistwem z ogary" musielibyśmy postawić krzyżyk... Wierzę jednak, że pp. gończarze wyjdą wreszcie z impasu biadoleń i założą klub miłośników polowania z ogarami. Z całego serca życzę im powodzenia, ba! — sam gotów jestem zapisać się na członka takiego klubu, bowiem nietylko nie jestem „wrogiem" psów gończych, lecz przeciwnie — do przepięknego myślistwa z ogary żywię szczery i gorący sentyment. Klub miłośników polowania z ogarami byłby wspaniałym przejawem łowieckiego życia klubowego — w najlepszem tego słowa znaczeniu: — łączyłby „przyjemne z pożytecznem" t. j. pierwszej klasy rozkosz emocjonującego rodzaju łowów z odrodzeniem pięknej tradycji myśliwskiej.

Teraz drugi przykład. W szeregu artykułów pp. L. Radyńskiego i L. Pac-Pomarnackiego poruszono sprawę ochrony pardwy, której grozi zagłada. Wysunięto dużo projektów. Mam wrażenie, że wszystkie projekty wchłonąłby i — że tak powiem — zogniskował jeden projekt, a mianowicie projekt utworzenia klubu (towarzystwa, kółka) racjonalnego polowania na pardwy, któryby również łączył „przyjemne z pożytecznem". Obok przyjemności, t. j. umiarkowanego odstrzału pardw, członkowie takiego klubu mieliby do spełnienia realizację wielkiej idei — ochrony i rozmnoży zagrożonego gatunku zwierzyny. Sądzę, że to ja jestem autorem takiego „klubowego" projektu ratowania pardwy, bo pierwszy ten projekt poruszyłem na forum publicznem w „Łowcu Polskim" Nr. 20 z r. 1938 (str. 405). Nie rozumiem więc dlaczego w trzy miesiące później („Łowiec P." Nr. 30 str. 626) p. Leopold Pac-Pomarnacki autorstwo tego projektu przypisuje p. inż. A. Radwan-Okuszce?... Uwagę tę kreślę zresztą tylko na marginesie i, że się tak wyrażę, dla porządku, gdyż nie chodzi mi o ambicję autorską w sprawie, w której stawką jest samo istnienie w Polsce pięknego i rzadkiego ptaka łownego. Pozatem bardzo cenię i szanuję p. A. Radwan-Okuszkę, jako niezwykle dzielnego i ideowego Łowczego Powiatowego, i nie leży w moich intencjach, by go czemkolwiek urazić. Faktem jednak pozostanie, że ja pierwszy rzuciłem na łamach prasy łowieckiej projekt „klubowego" sposobu ratowania pardwy.

Sądzę, że przytoczone przeze mnie dwa przykłady w sposób dostateczny ilustrują to, co rozumiem pod „specjalnemi zadaniami" klubów myśliwskich. Sądzę też, że samo życie wysunie cały szereg innych zadań specjalnych. Wierzę, że nietylko zawiążą się i rozkwitną kluby „miłośników polowania z ogarami" i „racjonalnego polowania na pardwy", lecz że doczekamy się np. klubu polowania z ptakami łowczemi (sokołami, jastrzębiami), a może nawet z czasem, gdy rozmnoża rzadkich dziś gatunków zwierzyny doprowadzi do zmiany przepisów łowieckich, powitamy narodziny towarzystwa racjonalnego polowania na łosie lub bobry!

Przywykłem myśleć realnie i raczej przewidywać, niż marzyć. Łaskawi czytelnicy wiedzą zresztą, że bardziej skłonny bywam do pesymistycznych, niż do różowych przewidywań. To też, mówiąc o klubach polowania na łosie lub bobry, chciałem tylko plastyczniej myśl moją wyrazić, bo do realnego, mniej lub więcej rozpowszechnionego polowania na bobry czeka nas jeszcze droga daleka. Natomiast kluby polowań z ogarami, polowań na pardwy lub polowań z sokołami mogłyby już powstać, choćby zaraz — byle tylko znalazła się odpowiednia liczba energicznych entuzjastów.

Klubowe życie myśliwskie wniosło i wciąż wnosi niespożyte walory do skarbnicy naszego łowiectwa. Ponieważ jednak obserwujemy jeżeli nie zanik, to w każdym razie znaczne osłabienie tego życia, należy dołożyć starań, by to życie — używając modnego dziś wyrazu — uaktywnić. Nieraz pisałem, powtarzając się zresztą (gdyż, niestety, najbanalniejsze prawdy należy do znudzenia powtarzać!): — nie lekceważmy zdrowego egoizmu myśliwskiego! Kluby myśliwskie, pojęte w sposób przeze mnie opisany, właśnie realizują harmonijną symbjozę egoizmu („przyjemne") z bardzo nieraz wzniosłą ideą np. ratowaniem pardwy („pożyteczne"). To też przed naszemi klubami myśliwskiemi — już istniejącemi i temi, które powstaną — roztaczają się szerokie i piękne horyzonty: muszą stać się one, jako członkowie-stowarzyszenia Polskiego Związku Łowieckiego, najbardziej w teren wysuniętemi bastjonami kultury łowieckiej.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

W SPRAWIE DOBREJ LITERATURY ŁOWIECKIEJ

Podobnie jak na innych odcinkach, tak i na odcinku wydawnictw, działalność Polskiego Związku Łowieckiego rozwija się w sposób owocny. „Łowiec Polski", „Kalendarz Myśliwski" i inne pisma łowieckie szerzą kulturę łowiecką. Nietylko informują o tem co się dzieje na polu walki o podniesienie łowiectwa w Polsce, ale również w sposób ciągły dostarczają wiadomości z zakresu łowiectwa i nauk przyrodniczych bezpośrednio z łowiectwem związanych. Są źródłem wiedzy o łowiectwie. Przeglądając roczniki naszych pism łowieckich, znajduje myśliwy wielką ilość artykułów, które razem wzięte dają mu teoretyczne przygotowanie we wszystkich niemal dziedzinach łowiectwa.

Tak, tylko... niestety, by znaleźć odpowiednie wiadomości, musi on wertować szereg roczników, co jest żmudne i uciążliwe, a więc zniechęca. Chcąc np. zasięgnąć informacji w sprawie broni myśliwskiej musi myśliwy stracić szereg godzin na wyszukanie odpowiednich fachowych artykułów. To samo dotyczy hodowli zwierzyny, sprawy wykształcania poroży i t. d. i t. d.

Tu zauważyć muszę, że pisma łowieckie perjodyczne, podobnie jak wszystkie inne czasopisma, spełniają przedewszystkiem rolę informatorów o zdarzeniach i zagadnieniach chwili bieżącej. Do tego celu są zresztą przeznaczone i tego też szukają w nich czytelnicy, którzy do starszych roczników, a nawet numerów zaglądają rzadko kiedy. A czy dużo jest myśliwych, kompletujących systematycznie roczniki pism łowieckich? Mam wrażenie, że bardzo mało. To też artykuły, drukowane w tych czasopismach, o ile chodzi o pełnienie służby przez dłuższy przeciąg czasu, są naogół stracone.

A jednak każdy człowiek, posiadający zainteresowania w jakiejś dziedzinie, potrzebuje dobrego, łatwo dostępnego źródła, w którem mógłby odnaleźć czy pogłębić potrzebne mu wiadomości. Otóż takich właśnie źródeł w zakresie łowiectwa w Polsce brak.

Zapewne, mamy szereg książek: podręczników łowiectwa, monofrafij czy pseudo monografij i t. p. Ale to nie wystarcza. Przedewszystkim książki te stoją na bardzo nierównym poziomie, naogół, niestety, niewysokim. Większość ich pisana jest przygodnie przez ludzi, którzy chwilowo zainteresowali się danym problemem i przystąpili do pracy bez należytego przygotowania. To też mimo najlepszych chęci autorów, zawierają one szereg błędów, nieścisłości, a często nawet zupełnie fałszywych oświetleń określonych zagadnień. Krótko mówiąc, literatura ta, poza nielicznemi wyjątkami, nie stoi na współczesnym poziomie wymagań. Dużo rzeczy jest też wyczerpanych.

Aby przez wszystkich być dobrze zrozumianym, podkreślić muszę, że co innego jest luźny artykuł w czasopiśmie, a co innego jakiś podręcznik czy monografja. W pierwszym można wypowiedzieć poprostu swoje osobiste spostrzeżenie, doświadczenie czy przekonanie, bez dostatecznego pogłębienia tego, co wiadomo w danej dziedzinie wogóle, natomiast w obszernej podstawowej pracy autor obowiązany jest wziąć za punkt wyjścia to wszystko, co było zrobione i napisane przed nim.

Otóż w pełni poczucia odpowiedzialności za to co mówię, twierdzę, że niema w polskiej literaturze podręcznika łowiectwa, któryby obejmował całokształt zagadnień łowieckich, podanych na współczesnym poważnym poziomie, niema ani jednej monografji zwierzęcia łownego, która wytrzymałaby najbardziej pobłażliwą naukową krytykę.



Wiosną przy ognisku. Fot. S. Bebenkowski

Przechodzę *ad rem*. Dla nikogo bodaj nie może ulegać wątpliwości, że wyżej wyłuszczoną kwestję należy rozwiązać możliwie szybko. Zdaniem mojem Polski Związek Łowiecki winien stworzyć nowy odcinek działalności wydawniczej: — wydawanie bibljoteki łowieckiej, której program zostałby dokładnie opracowany, a napisanie poszczególnych tomów powierzone specjalistom.

W ogólnych zarysach „Bibljotekę Łowiecką" wyobrażam sobie w sposób następujący:

Tom I — Ornitologja łowiecka.

Tom II — Nasze ssaki łowne.

Tom III — Podręcznik łowiectwa.

Tom IV — Historja łowiectwa w Polsce i innych krajach.

Tom V — Broń myśliwska dawna i dzisiejsza.

Tom VI — Pies myśliwski, jego pochodzenie i rasy.

Tom VII — Układanie psów myśliwskich.

Tom VIII — Choroby zwierzyny i psów myśliwskich.

Tom IX — Myślistwo z sokoły.

Tom X — Ustawodawstwo łowieckie w Polsce i innych krajach.
Tom XI — Słownik łowiecki.
Tom XII — Geografja łowiecka.



Mikita z Polesia. Fot. J. Hołyński

Poszczególne tomy wyobrażam sobie w poważnej objętości. Tak więc „Ornitologję łowiecką"w objętości około 800 stron in 8-vo, „Podręcznik łowiectwa" bodaj jeszcze obszerniejszy. Niektóre tomy wypadłyby zresztą znacznie mniejsze.

Powtarzam, że plan tego wydawnictwa należałoby szczegółowo opracować, a napisanie poszczególnych tomów powierzyć poważnym uczonym. Prac przygodnie zgłoszonych w tej serji nie należałoby wydawać. Ta „Bibljoteka łowiecka" w żadnym razie nie może się stać ujściem dla grafomanji, a winna stanowić zrąb wiedzy o łowiectwie, zbudowany możliwie najsolidniej, tak by P.Z.Ł. mógł za nią wziąć pełną odpowiedzialność, zarówno wobec pokolenia obecnego jak i wobec następnych. Nie chcę się tu szeroko na ten temat rozpisywać. Narazie stawiam poprostu projekt, który możliwie najprędzej powinien być szczegółowo opracowany i realizowany.

Ta „Bibljoteka łowiecka" nie wypełni jednak całkowicie potrzeb wydawniczych w zakresie łowiectwa. Są jeszcze i inne, np. „Polska encyklopedja łowiecka", opracowana wyłącznie przez specjalistów, a utrzymana na najwyższym poziomie. Potrzeba takiej encyklopedji jest tak oczywista, że nie uważam poprostu za potrzebne tego uzasadniać.

I jeszcze jedno. To wydawnictwo o charakterze czysto naukowym. Oddając nauce to, co jej od łowiectwa należy, P. Z. Ł. winien przystąpić do wydawania „Archiwum łowiectwa", Wyobrażam je sobie jako wychodzące zeszytami, w miarę napływania materjału, to znaczy rozpraw o charakterze naukowo-badawczym. Sądzę, że łowiectwo polskie może się już zdobyć nietylko na wydawanie takich prac, ale i na ich subsydjowanie. Sam koszt ich wydawania jest stosunkowo niewielki, a znaczenie tego wydawnictwa dla rozwoju kultury naukowej polskiej mogłoby być bardzo duże.

Są jeszcze i inne potrzeby w zakresie wydawniczym, ale narazie wymieniłem te, które uważam za najważniejsze. Wierzę, że władze P.Z.Ł. zechcą szybko przystąpić do ich realizowania. Specjalnych trudności finansowych nie widzę. Zapewne pieniędzy trzeba, ale będą się one zwracać w miarę sprzedaży książek. Że będą się szybko rozchodzić, nie mam wątpliwości, byleby były dobre. Narzeka się wprawdzie wciąż, że nasi myśliwi nie chcą kupować książek, że nie chcą ich czytać, ale nie pamięta się o tem, że właściwie nie mają oni tak bardzo co czytać, że poważna literatura łowiecka w polskim języku właściwie nie istnieje. Myśliwy, zawiódłszy się na jednej i drugiej książce czy książeczce, którą wziął do rąk, złudzony wiele obiecującym tytułem, zniechęca się do ich kupowania wogóle. Gdy dostanie do rąk jedną dobrą, kupi drugą i następne. Przyzwyczai się obcować z książką i powoli literatura łowiecka stanie się dlań przedmiotem pierwszej potrzeby.



Po dwóch rankach na połoninie Bałasynów. Maj 1938 r.

Szkicując program powyższy, zaznaczam, że nie chcę przez to powiedzieć, by P.Z.Ł. ograniczył się w swym programie wydawniczym jedynie do tych ram. Przeciwnie, każda dobra zgłoszona książka łowiecka powinna być wydana. Musi jednak naprawdę reprezentować jakąś realną wartość.

JANUSZ DOMANIEWSKI

Redakcja, nie podzielając wszystkich poglądów Szanownego Autora, zastrzega sobie wypowiedzenie się w poruszonej sprawie w osobnym artykule. (Przyp. red.).

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

Na stacjach spotykamy teraz „prawdziwych dzikich": pierwotnych synów stepu, koczujących w tych stronach, bitnych, wojowniczych Massajów. Podróżnicy, którzy badali plemiona murzyńskie, twierdzą, że lud ten jest jednym z najciekawszych szczepów, zamieszkujących Czarny Ląd.

Przybysze z północno - wchodnich okolic Afryki, graniczących z Arabją, z niewątpliwą domieszką krwi semickiej *) w żyłach, Massaje typ przedstawiają nierównie szlachetniejszy, niż otaczające ich sąsiednie plemiona murzyńskie. Budową ciała i charakterem przypominają Somalisów i równie są, jak ci ostatni, odważni, okrutni i wytrzymali.

Podobnie jak pewien liczny szczep słowiański Środkowej Europy, wrodzony im wstręt do pracy i zamiłowanie do wszystkiego, co o pozorach stanowi i o wyglądzie, Massaje tłomaczą swem rycerskiem pochodzeniem, na które powołują się chętnie. Idąc w pojęciach swych dalej jeszcze, niż Słowianie Środkowej Europy, czarni „el morani", t. j. rycerze, jak tytułują się z arabska, uważają rolnictwo nawet za pracę hańbiącą i zajmują się, jako nieuwłaczającemi stanowi rycerskiemu: polowaniem, improwizowaną od czasu do czasu wojną i nadewszystko hodowlą bydła, do którego przywiązani są fanatycznie. Aż do przyjścia Anglików, napady na sąsiadów i rabunek ich stad ulubionemi były zajęciami Massaja. Dziś czasy te minęły, zdaje się bezpowrotnie, bo władze angielskie, pojmując rycerskość inaczej, przedsiębiorczość „el-morani" ograniczyły znacznie.

Jako szczep pasterski, Massaje żywią się głównie mlekiem i mięsem, które, jak widziałem to wielokrotnie, jedzą surowe i popijają ciepłą jeszcze krwią zabitego zwierzęcia. Pożywny ten, treściwy rodzaj pokarmów, ustawiczny ruch i prażenie się w palącem słońcu sprawiają, że ciała ich do późnego wieku pozostają suche, elastyczne, podobne w ruchach do ciał dzikich kotów.

Mimo całej niechęci, z jaką do obyczaju tego odnoszą się Anglicy, Massaje z bronią nie rozstają się nigdy. Zwykły ich rynsztunek składa się przedewszystkiem z dwóch, długich na dwa metry przeszło, ciężkich dzid, assagai, całych z żelaza, przedzielonego pośrodku kawałkiem drzewa. Na ostry koniec dzidy, aby uchronić go od stępienia, zakładane są, zdobne w pompon z puchu strusia, pochewki skórzane, które zdejmują przed użyciem broni. Rzucona zręcznie, dzida taka ciężarem swym przebija lwa nawskroś. Prócz dzid, Massaje noszą u pasa krótki miecz z rozszerzonem u końca owalnie ostrzem i okrągłą maczugę na cienkiej rękojeści, której, podobnie jak dzidy, używają do rzucania.

Jako ozdoby, noszą na sobie sznurki różnobarwnych paciorków, drobne białe muszelki, jak tatrzańscy górale, i w nieprawdopodobnych ilościach drut żelazny i mosiężny różnej grubości. Ich kobiety zwłaszcza miewają na sobie po kilkanaście funtów drutu, zwijanego w ogromne kryzy, w bransolety na rękach i na nogach i w ciężkie, płaskie, jak talerze, kolce do uszów.

Lubując się nadewszystko w broni i w „klejnotach", Massaje mniejsze znaczenie przypisują tkaninom i zasłonom, których używają również dla ozdoby tylko. Mężczyźni ubierają się w mały, strojny zresztą bardzo fartuszek, wyszywany drutem i paciorkami, zawiązany pod szyją i zasłaniający — piersi; kobiety w krótką, „zupełnie niezupełną" spódniczkę ze skóry, przewiązaną w pasie i sięgającą niewiele niżej.

Jak przystało na ludzi wiedzących na czem polega prawdziwa elegancja, dbają niezmiernie o wygląd swej skóry i trefią starannie włosy, które zaplatają w mnóstwo warkoczyków, wiązanych następnie w cztery pęczki, zwieszające się nad karkiem, nad uszami i nad czołem, albo oblepiają wprost warstwą czerwonej gliny zmieszanej z tłuszczem. Massai, który własnoręcznie zabił lwa, ma prawo nosić na głowie strój zrobiony z grzywy zwierzęcia i uważany jest przez swoich za wielkiego „el-morani", t. j. coś w rodzaju arystokraty.



Z albumu Autora.

Tłustą, czerwoną pomadą smarują również całe ciało, które nabiera niezwykłej, dzikiej barwy przydymionego, miedzianego rondla. Egzotyczny, nad wszelki wyraz malowniczy sposób ten ubierania się, ucztą jest prawdziwą dla oczu turysty. Biada jednak białemu, który rozmawiać zechce ze szlachetnym „el-morani" zbliska. Wyrobów Pinaud'a ani Atkinson'a nie używają, a zapach zjełczałego tłuszczu pomieszanego z potem i swoista woń kozła, jaką, po kąpieli nawet, wydają czarni, przyprawić mogą o chorobę. Zbliżając się do nich, dobrze jest pamiętać o tem i stać od strony wiatru, który aromaty te zabiera.

Nieprzebrane bogactwo tematów znalazłby tam fotograf, gdyby „el-morani" i czarne ich drutowane piękności pozować chciały chętniej. Na stacjach jednak krajowcy tak są już znudzeni fotografowaniem ich przez podróżnych, że uciekają, widząc aparat. Próbując zdobyć ich podobizny, uciekać się muszę do podstępu. Na miejsce, na które wprzód już nastawiony jest aparat, rzucam sztukę monety, a kiedy rycerz albo gracja miejscowa zbliży się, żeby ją podnieść, pociskam migawkę. Udawało się jednak z kobietami tylko, bo mężczyźni, zrozumiawszy w czem rzecz, więcej przeważnie okazywali godności i, patrząc na mnie z partesu, do podnoszenia pieniądza nie kwapili się zupełnie.

*) Arabskiej.

Zjawiskiem równie uporczywem, jak zapach pożaru i nocna muzyka cykad, był w podróży naszej czerwony pył laterytu, unoszący się w powietrzu i barwiący wszystko na czem osiadał. Pokryte nim przedmioty, zwierzęta, a nawet ludzie i żywe, zielone rośliny nosiły ten sam jednostajny, typowy nad wyraz, odcień rdzewiejącego żelaza, jak gdyby świat cały przesłonięty był lekką, czerwoną mgłą. I znowu budziło się uczucie otoczenia nieznanego, dziwnie obcego; uczucie, na które kolejno składały się wrażenia przez wszystkie odbierane zmysły.

Czas płynął szybko, aż nazbyt szybko! Nie wiedząc kiedy, minęliśmy stacje: Matschako Road, Kapiti Plains i Athi River, zwaną tak od ładnej, małej rzeczki, o brzegach zarośniętych gęsto trzciną i papyrusem.



Z albumu Autora.

Jesteśmy w suchej porze roku, w stepach brak wody, więc zwierz tysiącami ściąga nad rzekę, gdzie zgromadziły się nieomal wszystkie rodzaje zwierza Wschodniej Afryki. Dlatego też widzieliśmy go w tylu odmianach i w takiej obfitości. Za parę miesięcy, kiedy przyjdą deszcze i wodę znaleźć można w stepach wszędzie, ta sama zwierzyna rozsypie się na wielkich przestrzeniach i nigdzie nie będzie jej tyle.

Starzy myśliwi afrykańscy mówią: „gdzie zebra, tam lew". Za stadem zebr, jak za śpiżarnią zawsze otwartą, ciągną lwy. Nad Athi śpiżarnia zaopatrzona jest bogato i słynie też z ilości potężnych drapieżników, które spotkać tam można dziś jeszcze, pojedyńczo i po kilku naraz niekiedy, zanim jeszcze nastanie noc. Rewiry te znają dobrze biali sportsman'i i nawiedzają je co roku licznie. Kto polować chce na lwa i spotkać się z nim dziś jeszcze napewno, jedzie do Afryki Wschodniej, nad Athi River.

Dojeżdżaliśmy do Nairobi, widać już było wysoki komin fabryczny, otulone w kępy zieleni podmiejskie wille i stację, a wciąż jeszcze stały po obu stronach linji zebry i antylopy, jak osobliwe stada, wypędzone z miasta na paszę.

*

Dziwną jest natura ludzka i dziwnym tkwiący w niej zmysł sprzeczności! — Oto kiedy stanęliśmy u celu, kiedy losy nasze powierzyć mamy przedsiębiorcy i jego przewodnikom, aby rozpocząć upragnioną wyprawę, żal mi jest przepięknej podróży i pełnego uroku stanu oczekiwania. — Czy rzeczywistość, z którą zetkniemy się za parę godzin, odpowie oczekiwaniom, czy, jak to bywa w życiu często, nie zawiodą nas nadzieje?

Podróż sama i świat wyobraźni, w którym obracaliśmy się dotąd, były tak pełne uroku, że doprawdy mogłem lękać się rozczarowania. Zresztą początek wszelki i radość powitania niosą już w sobie zadatek końca i smutku pożegnań. — Wszystko co się zaczyna, kończyć się musi. — Dojeżdżając do Nairobi, rozmyślałem już, jak smętnym będzie dzień, w którym, patrząc na miejsca te po raz drugi, żegnać już będę ten piękny, Czarny Świat.

Jak gdyby na potwierdzenie mrocznych przeczuć, na wstępie zaraz spotkała nas przykrość. Podczas postoju w Nairobi. kiedy zakończyć chcieliśmy rachunki, pan S., nasz niemiecki impressario, licząc widocznie na nasz brak doświadczenia i na zamieszanie ostatnich chwil podróży, a może próbując wyzyskać wrażenie, jakie wywarło na nas widziane dopiero co Eldorado, wystawić chciał nam rachunek, przewyższający blisko dwukrotnie naznaczoną przez niego samego cenę. Tłomaczył to trudnością werbowania tragarzy, większość których zabrały już wyprawy wcześniejsze, wydatkami, jakie pociągnęło wynajęcie wozu i wołów pod część bagażu, wysoką ceną mułów pod wierzch i t. p.

Słuchając wyrzutów mego towarzysza, twierdzącego, że wybrać należało firmę angielską „Tarlton i Newland", oświadczyłem panu S., że wobec podobnego stawiania sprawy, z usług jego rezygnujemy i pozostajemy w Nairobi, gdzie postaramy się o innego przedsiębiorcę. Umowę zaś naszą i korespondencję zmuszeni będziemy oddać dziś jeszcze adwokatowi. Groźba poskutkowała. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, Niemiec zwinął chorągiewkę i gadać zaczął z innej beczki. Koniec końców, dla świętego spokoju, a głównie nie chcąc tracić czasu na rozprawy, zgodziliśmy się dopłacić pewną sumę za wynajem mułów, wartość których obciążałaby nas w takim tylko razie, gdyby zwierzęta nie powróciły całe.

Porozumiawszy się ostatecznie, zasiedliśmy śpiesznie do śniadania, które na długi przeciąg czasu miało być ostatnim naszym posiłkiem, podanym pod dachem.

Prócz paru urzędników angielskich, jadących aż do Ugandy, z Wielkiego Jeziora, wszyscy nasi towarzysze wysiadają w Nairobi. Na stacji białych więcej nierównie, niż w Mombasie. Dużo miejscowych oczekuje na przyjazd krewnych i znajomych, przybywających aż z Europy. — Młoda dama płacze, witając dwoje dzieci, które wracają z Anglji, gdzie dla klimatu i dla zdrowia spędziły cały rok. Jest to, jak nam mówią, rodzina dyrektora banku, przeniesionego do Nairobi z Indji, gdzie nabawili się malarji.

Z ciekawością przypatruję się białym, mieszkającym tu, pod samym równikiem, stale. Wysuszeni i spaleni od słońca, jak cyganie, ledwie bielsi niż Hindusi, wygląd jednak mają czerstwy i zdrowy. Nawet dzieci, których jest kilkoro na stacji, choć równie opalone i szczupłe jak dorośli, robią wrażenie zdrowych. Podobno jednak są to pozory tylko, bo mimo chłod-

nego stosunkowo klimatu i znacznej wysokości nad powierzchnią morza, chemiczne (jak w fotografji) działanie słońca, świecącego prostopadle, jest tu tak silne i szkodliwe dla tkanek ciała, że wcześniej czy później odbija się na zdrowiu białego. Organizmy silne, odporne, wytrzymują je niekiedy przez długie lata; dzieci jednak i ustroje słabe ulegają mu szybko i zapadają w niedokrwistość.

*

Przed wejściem Anglików, terytorja, na których leży Nairobi, należały do Wa-Kikuju*), pierwotnego plemienia, mniej podobno odważnego, lecz okrutniejszego jeszcze i więcej podstępnego, niż ich sąsiedzi i wrogowie odwieczni, Massaje. — Z dawiendawna ta właśnie część drogi uważana była za najgroźniejszą dla podróżników, którzy do posiadłości Kikuju nie zapuszczali się inaczej, jak z liczną i uzbrojoną dobrze eskortą. Od chwili przeprowadzenia kolei jednakże warunki zmieniły się zupełnie i dziś turysta spacerować tam może bezpiecznie sam, z laską w ręku.

Przekonani o wysokim poziomie swej cywilizacji Suahilisi z pomorza, nazywają Wa-Kikuju „shenzi", to znaczy „dziki człowiek". — Miękkością ani łagodnością obyczajów Kikuju nie odznacza się rzeczywiście. Mniej może wymagający niż Massaje, Wa-Kikuju ubierają się podobnie, przeważnie w drut i paciorki, przyczem na zdobienie uszów szczególną zwykli zwracać uwagę. Otworek, przez który białe damy przeprowadzają złoty haczyk od kolczyka, Kikuju rozszerza coraz to większemi kółkami i klockami do tego stopnia, że przez powstałą w ten sposób pętlę przesunąć można pięść. Pętlę taką, o ile nie tkwi w niej żadna ozdoba, zakładają w górę, za ucho, jak wylot od kontusza.

Jak u większości plemion murzyńskich, kobieta uważaną jest przez Wa-Kikuju za siłę roboczą, którą sprzedawać i kupować można. — Płeć piękna dojrzewa tam wcześniej, niż u nas, więc już w dziesiątym roku życia „artykułu" rodzice, naturalni właściciele, szukać zaczynają nabywcy i zależnie od jakości towaru sprzedają go za cenę 40—50 kóz lub owiec, co wynosi 200—300 rupij za „sztukę"; taniej więc znacznie niż w Europie".

Mąż, jeżeli nazywać tak można szczęśliwego nabywcę, obchodzi się z żoną, jak ze zwykłą niewolnicą, która wykonywać musi odtąd najcięższe roboty: nosić ciężary, uprawiać ziemię, lepić chaty i t. p.

Spotykaliśmy często kobiety miejscowe, pokryte czerwonym pyłem, zlane potem, gnące się pod ciężarem skórzanych przepełnionych worów lub ogromnych pęków chróstu, niesionych zdaleka na opał. Niektóre prócz ciężarów dźwigały na plecach małe dzieci.

Z większym jeszcze realizmem odnoszą się praktyczni Wa-Kikuje do swych chorych i do umarłych, o których twierdzą, że „straszą" i powracać lubią po śmierci do miejsc, w których mieszkali, zanim zrzucili ziemską powłokę. Ażeby uchronić się od podobnych odwiedzin, Kikuju palić zwykł chatę, w której rozstawał się z tym padołem członek jego rodziny. Racjonalny ten środek jednak tę złą przedstawia stronę, że pociąga za sobą dokuczliwą dla każdego przeprowadzkę i konieczność budowania nowej siedziby.

*) Sylaba „Wa" przed wyrazem oznacza po suahili liczbę mnogą; litera „M" — pojedyńczą.

Jakkolwiek siedziby te, klecone z chróstu i lepione z gliny, dalekie są od miłych mieszkańcowi wielkich miast, arcydzieł współczesnej architektury, leniwy Kikuju woli uniknąć kłopotu i do aktu śmierci pod swym dachem nie dopuszcza!

Sposobu w tym celu używa równie prostego, jak niezawodnego. Oto zawczasu usuwa z chaty członka rodziny, podejrzanego o zamiar opuszczenia tego padołu, i wynosi go na noc za kolczaste ogrodzenie, otaczające ich „wsie". Reszty rytuału dopełniają tam lampart i hjeny, zwane w obrazowym języku Wa-Kikuju „mfissi", co oznacza cmentarz, albo grób przodka.



Z albumu Autora.

Pomijając zachowaną w obrządku barwę lokalną i godną uznania cześć dla tradycji, pogrzeb à la Kikuju tę jeszcze dodatnią przedstawia stronę, że nie pociąga za sobą wydatków na koszty uroczystości i na budowę mauzoleum, które gotowe i w wielkim wyborze setkami czekają w haszczach.

Mimo twardego pozornie charakteru zresztą i spartańskich swych obyczajów, Kikuju godzi się z cywilizacją, t. j. z jarzmem białego, łatwiej, niż wolny, nieposkromiony syn „nyiki" Massai, który, jak wspomniałem to już wyżej, dwie dziś tylko widzi przed sobą karjery godne rycerza: paść bydło lub służyć w szeregach miejscowych askarysów. Z powodu dzikości jednak i wrodzonej, nieokiełznanej popędliwości, nie poddającej się dyscyplinie, Massaje do służby wojskowej przyjmowani są niechętnie. Wa-Kikuju przeciwnie, oswajają się stosunkowo łatwo i używani bywają ogólnie jako robotnicy. Widzieliśmy ich nieraz pracujących gromadami przy uprawie roli i przy robotach kolejowych.

Za Nairobi, o pół godziny drogi, kraj zmienia postać swą zupełnie. Kończą się zajmujące dla sportsman'a, lecz monotonne dla chciwego widoków „turysty", otwarte, płaskie równiny stepowe i ustępują miejsca okolicy skalistej, pełnej gór i przepaści, alpejskiej prawie.

Zbliżamy się do najwyższych poziomów płaskowzgórza i do krawędzi „Great Rift Valley", szerokiego na dziesiątki kilometrów, potężnego jaru czy wąwozu wulkanicznego, ciągnącego się od Rodezji w Afryce Środkowej do Palestyny w Azji, który Uganda Rail Way w najdzikszych jego przecina miejscach. —

Przez całą niemal długość Czarnego Lądu biegnie olbrzymia, głęboka rozpadlina o stokach urwistych, poszarpanych, jak gdyby, rozsadzana parciem ognia wewnętrznego, otworzyć się tam miała niegdyś skorupa ziemi.

Idący wciąż pod górę tor kolejowy, wznosić się tu zaczyna tak nagle, że między stacjami Nairobi i Limuru, na przestrzeni 40 kilometrów, różnica poziomu wynosi blisko 2000 stóp.



Z albumu Autora

Gdzie spojrzeć, rzucają się w oczy ślady niezmiernych przewrotów kosmicznych, jakie tam miały miejsce. Coraz większe i coraz liczniejsze spotykamy po drodze nagie, stożkowate pagórki, rozsypane na równinie, jak miniatury wulkanów; wśród stepu coraz więcej widać skał i wąwozów. Mimo to, choć rzadko, kraj zaludniony jest jeszcze. — Mijamy parokrotnie małe osady białych, bydło domowe, plantacje i pokryte słomą kukurydzy lepianki krajowców, otoczone „shamba'mi", polami bez miedzy i bez wyraźnej granicy, obsiewanemi licho przez ludność miejscową.

Przy jednej z zagród, budowanych po europejsku, jak gęsi na ugorze, pasło się, pod nadzorem czarnego pastucha, stado strusi.

Po pewnym czasie jednak, w miarę jak powiększała się odległość dzieląca nas od miasta, śladów pobytu człowieka spotykaliśmy coraz mniej. Fermy i „shamby" znikły, okolica stawała się coraz dzikszą, coraz więcej pierwotną.

Zamiast równiny usianej pagórkami i falistego stepu, za oknem widać było teraz góry, spadziste, głębokie wąwozy, skaliste, strome zbocza, zarośnięte gęsto jary i stare, cedrowe lasy. Powietrze wyraźnie było chłodniejsze, rzadkie, czyste i już nie było w niem ani czerwonego pyłu, ani zapachu pożarów.

Dwukrotnie przebywaliśmy wjadukty, rozpięte karkołomnie nad przepaścistemi wąwozami, jary suche, bez szumiącego zazwyczaj na dnie potoku. W oknie wagonu krajobrazy ukazywały się teraz zupełnie alpejskie, jak w najdzikszych zakątkach Szwajcarji lub Pirenejów. Spadzistości, po których szła droga, coraz były więcej strome; maszyna, pracując nad siły, coraz zwalniała biegu.

Walcząc z terenem, kolejowy tor wił się między skałami, jak wąż: piął się pod górę, pełzał po zboczach, tonął w gęstych zaroślach, przebywał mosty, pod któremi na paręset metrów głęboko ziała otchłań. — Na zakręcie dojrzeliśmy raz, leżące w dole, o 20 kilometrów może za nami — Nairobi. Roślinność inna tu niż na pomorzu: agawy, sisal, sansewiczy ostromlecz. — Jeszcze wyżej spotykamy: dzike banany, smokowce, charakterystyczne dla gór bambusy i olbrzymie paprocie.

Kolejno ukazywały się i znikały: ginące już w oddali rozległe równiny stepów, płachty pożółkłych haszczy, zielone lasy na górach, wyschłe strumienie zawalone głazami, czarne złomy skał, a nawet gdzieś daleko samotny wśród dziczy biały dom, podobno misja. — I znowu pociąg krył się pomiędzy spiętrzonemi ścianami zrębów skalistych, znów tonął w cieniu odwiecznych lasów, w których, jak długie siwe brody, zwieszały się z drzew mchy i porosty.

Byliśmy w ojczyźnie gerezy, przepysznej czarnobiałej małpy o jedwabistym, długim włosie i tajemniczego Hylochaerus'a, dzika olbrzyma, który tu właśnie niedostępne zamieszkuje gąszcze.

Patrzyliśmy w milczeniu, nie znajdując słów, aby wyrazić wrażenie, jakie wywarł na nas koniec podróży. — Trudno było o piękniejszy!

Partja czarnych robotników naprawia drogę — pociąg zwolnił i dał znak syreną — budynki jakieś na zboczu góry. „Escarpment" — ostatnia stacja przed Kijabe; leży najwyżej na całej przestrzeni drogi — 7340 stóp nad powierzchnią morza. Mały górski przystanek, otoczony skałami; na tle nieba zębate szczyty i dokoła zielony las, jak nasz — iglasty. Tyrol, nie Tyrol — czy Szwajcarja może! — Dlaczego nie widać nigdzie szaletów, ani krów na halach? Tylko patrzeć — ukaże się na peronie wygalowany szwajcar z nazwą hotelu na czapce.

Z okienka, pod napisem „Post", wygląda oliwkowa, brodata twarz Hindusa, a obok, zbici w gromadkę, stoją czarni Wa-Kikuju, z długiemi dzidami w rękach.

Gdzie Tyrol, gdzie Szwajcarja? Złudzenie nie trwa długo; tu inny świat, inne niebo, inne lasy. To Afryka! Afryka w każdym szczególe, w każdem tchnieniu — to obcy, tajemniczy Czarny Ląd.

*



Końcowa stacja podróży: Kijabe.

Nad szerokim, zarośniętym wąwozem, na żelaznej pajęczynie wjaduktu, pociąg zawisł przez chwilę, jak ptak w powietrzu; pod nim głęboko kołysały się i kłębiły, do zielonych fal podobne, wierzchoły cedrów. Potem przesunął się, jak igła, przez skalistą gardziel, utonął raz jeszcze w gęstym, cienistym lesie i, jak najwspanialsza panorama widziana z lotu ptaka, zalana słońcem i powietrzem, w całej swej

szybkości i w całym ogromie, otworzyła się przed nami olbrzymia blizna naszej planety: — dolina Środkowej Afryki.

Pod nami, na 2000 stóp może, zaległa nieobjęta wzrokiem równina i ginące w przestrzeni stepy, haszcze, lasy, skały, zielone plamy łąk, wulkaniczne kretowiska i... ocean powietrza.

Rozpływając się w niebieskiej przestrzeni, na widnokręgu, jak dwie ogromne kopice, spały wygasłe wulkany — Suswa i Longonot.

— „Czy to miejscowości, o których pan wspominał w liście?" — „Tak, pod tamtą górą wypadnie panom droga" — objaśniał towarzyszący nam od Nairobi impressario.

Spojrzałem chciwie, lecz dal pozostała zakrytą, tajemniczą. Prócz sinej, bezkształtnej masy skał, lorneta nie pokazała mi nic. Czepiając się ściany, droga biegła po zboczu nad doliną, która leżała u naszych stóp. Po jednej stronie toru wznosiła się stroma, skalista ściana, po drugiej, pionowo prawie, zrąb obsuwał się w przepaść. Patrzyliśmy w jar, jak z balonu. Na przemiany pociąg mijał rumowiska skał, wąwozy, czarne złomy bazaltu, las i jeszcze skały. Lasy zwarte, splątane, to znów spalone miejscami i czarne, przypominały ostępy poleskie, kiedy latem zapuszczą w nich ogień pastuchy.

Susza, gorąco, aż ziały od tego skały; dokoła wody ani kropli, ani śladu potoków, które szumieć zwykły w naszych górach. A jednak woda bywa tam; bywa jej dużo nawet. W suchych teraz łożyskach rzek i strumieni leżą wielkie głazy i kłody drzewa, zaniesione tam powodzią podczas „massiki", kiedy padają deszcze. Żywej, zielonej roślinności mało; reszty jej dogorywają w dolinach, gdzie jest cień. Nawet ostromlecze i agawy, jedyne rośliny, które ostać się mogą w tem piekle, wygląd mają zwiędły jakiś i ospały.

Słońce przeszło tymczasem na zachodnią stronę nieba i kryło się właśnie za zręby jaru, kiedy pociąg stanął w Kijabe.



Z albumu Autora.

Oświetlona słońcem czerwono, widoczna zdaleka, nazwa ta przyśpieszyła mi, wyznam, bicie serca. Tyle z nią wiązałem nadziei, tyle dla mnie mieściła pożądań i obietnic, tak długo żyłem oczekiwaniem chwili, kiedy odczytać ją będę mógł na miejscu! — Aż dotąd świeciła nam w podróży szczęśliwa gwiazda. Resztę przynieść miało jutro.

(D. c. n.)

STANISŁAW ZABOROWSKI

O PRZEPIÓRCE

Zamikły codzienne powszednie odgłosy...
Zasypia Rembertów strudzony, sterany,
i pieśń tajemnicza srebrzącej się rosy
zrodziła się w ciszy. Nad błota i łany
gdzieś w dal popłynęła. Powiewem leciutkim
przez okno naoścież otwarte się wkradła
i z duszy mej cichym złączyła się smutkiem,
jak promień księżyca z odblaskiem zwierciadła.

Wesołym rechotem i tęsknem kumkaniem
już chóry na bagnie ozwały się żabie.
Wciąż czekam i czekam. Nie mogę spać, zanim
choć raz nie usłyszę, jak bije i wabi
przepiórka, co w życie ukrywa się skromnie.

Czyż los niepojęty, czyż los niezbadany
tak zrządził, by zew jej docierał tu, do mnie?
Czyż dały jej szczęście ubogie te łany?

Wszak słyszę wyraźnie — to zew samotnika,
co tęsknie potulną bohdankę przyzywa.
A ona wśród gęstych badyli umyka —
— łaknąca miłości, lecz taka wstydliwa!
Zamilkły odgłosy codzienne, powszednie.
Śpią domy, ulice, ogrody, podwórka.
Tęsknotę w mem sercu wzbudzając bezwiednie,
zaklęcia miłosne powtarza przepiórka...

W. L. von Falkenau

GRAJĄ JAKIEŚ TAM GŁUSZCE

Żonie mojej,
najmilszej i najwierniejszej
towarzyszce życia
— poświęcam.

Gdy blade jeszcze, nieśmiałe słońce marcowe upadnie złotym blaskiem na wybielone śniegiem strome dachy kamienic i zacznie sączyć z uwieszonych wysoko pod okapem długich i ostrych sopli lodowych pierwsze przejrzyste krople wody, kiedy rozgrzane stopami przesuwających się przechodniów śliskie płyty chodnika pokrywają się nareszcie chrzęszczącą miazgą tającej zimowej skorupy, a rynsztokami popłyną cienkie wężyki mętnej, błotnistej wody — dziwi się Pani, że mąż Jej tak nagle traci humor, jakoś posępnieje i milknie.



Wiosenne roztopy na Polesiu. Fot. J. Hołyński

W parku, gdy, przytulona do jego ramienia, kroczy Pani wesoło wyzłoconą słońcem aleją, lustrując okiem znawczyni pierwsze modele wiosennych kapeluszy, czy modny krój płaszczy u mijanych elegantek — zrozumieć Pani nie może, dlaczego jego interesuje dziś ponad wszystko nikły świergot małego ptaszka — dzwońca czy sikory — tkwiącego, jak ciemny punkcik, na gałęzi rozrosłego dumnie kasztanowca.

A gdy przyniesie się do mieszkania nabyte od przygodnego chłopaka długie zielone gałązki iwy, okryte srebrnym puszkiem rozpękającego różańca owalnych baziek — on wzdycha tajemniczo i, zbliżywszy się do rozsłonecznionej szyby okna, patrzy tęsknie w dal, hen ku czarnym szczytom odtajałych wzgórz, okalających szerokim pierścieniem barwną plamę miasta.

I dziwi się Pani jego nieopanowanej radości, z jaką wpada kiedyś do domu z depeszą w ręku, aby spakować gorączkowo walizkę i przetrzeć strzelbę, leżącą bezczynnie w futerale od sezonu polowań zimowych. A nazajutrz pędzi o świcie na dworzec, by przebyć kilkaset kilometrów naprzemian koleją, autobusem i końmi, byle zdążyć na czas do kniei, bo, jak mówi, podobno grają jakieś tam głuszce. Wielka mi osobliwość — zwykłe duże ptaki leśne! Dziwi się więc mu Pani i zrozumieć go nie może.

Lecz gdyby Pani pojechała z nim kiedyś do puszczy, gdyby spędziła razem wieczór i świt w dzikim ostępie, wśród pierwotnej przyrody, budzącej się nagle z zimowego letargu do nowego, pełnego szaleństwa, wiosennego życia, wówczas z pewnością zrozumiałaby wszystko i czekałaby odtąd, jak on z utęsknieniem, na każdy nowy objaw wiosny. Wtedy pierwsza gałązka baziek lub bukiecik przylaszczek rozkosznym dreszczem niewytłomaczonej radości i wzruszenia ogarniałby i Pani serce, a dawne przeżycia w puszczy powracałyby w myśli z zadziwiającą natarczywością. Doznałaby Pani wrażeń nowych, silnych, potężnych, zupełnie dotąd nieznanych. Początkowo przytulona do ramienia męża drżałaby z emocji, a nawet może z tajemniczego lęku, lecz jednak chwile tamte, spędzone wiosną w sercu dzikiej kniei, głęboko wryłyby się Jej w pamięci, pozostawiając na całe życie niezapomniane wspomnienia.

W tym roku pojechać Pani nie mogła, a toki głuszcowe już się skończyły. Proszę więc usiąść wygodnie przy mnie na otomanie, zamknąć swe ciemne oczęta, złożyć główkę na pluszu oparcia i słuchać, a ja opowiem coś niby bajkę czarowną i niezapomnianą o wiosennych łowach w puszczy.

*

Przyszliście Państwo zasadzić głuszce na zapadzie. Siedzicie na zmurszałym pniu, u stóp niskiej lecz rosochatej błotnej sosny. Piękny, ciepły dzień ma się ku schyłkowi. Słońce, jak duży złoty pieniądz, stoi tuż nad postrzępionym pasem boru, zalewając jego wnętrze jasną pożogą, od której płoną jaskrawo gonne pnie pojedyńczych wyższych sosen, przechodzących dalej w rzadko zarosłą makatę rozległego mszaru. U podnóża drzew rudym nalotem rysuje się zwarta gęstwina krzaków, bagna i wrzosu, rozdarta miejscami smugami białawych plam torfowca, czy zeschłej zeszłorocznej trawy. Słońce dogrzewa — jest ciepło. Szmaragd wyniosłych koron sosen, rozrzedzony sutą domieszką płynnego złota, nabiera żywej, wesołej zieloności, skrzy się u czubków paskiem świetlanej aureoli, przenikającej przez snopy igliwia setkami jarzących się iskier.

Za trzystametrową szyją bagna widnieje suchsza wyspa, piętrząca się kolumnadą starych sosen, rozpościerających szeroko baldachimy grubych, kołtuniastych konarów. Wyspa-ostrów tonie jeszcze w powodzi słonecznego blasku, choć okalający ją pierścień mszaru powleka się już wolno patyną niebieskawego, jak opar, cienia.

Wiatr ustał zupełnie. Bujne kiście igliwia wiszą nieruchomo bez najlżejszego drżenia. Gdzieś daleko, na suchej gałęzi terkoce czarny dzięcioł, a sójka, tkwiąca na białym sęku brzózki błotnej, popisuje się swą wiosenną improwizacją, świergocąc naprzemian i cicho pogwizdując.

Lśniący krążek słońca zapadł już wkońcu głęboko za kolistą linję widnokręgu, gasząc blask ostatnich

iskier, migocących pomiędzy czubami drzew. Barwa złota ciemnieje i znika z otoczenia, w którem dominuje teraz matowy odcień ultramaryny i granatu. Daleka kolumna drzew porastających ostrów rozlała się w mglistej przestrzeni, jedynie pierzaste wierzchołki poszczególnych sosen rysują się wyraźniej na tle modrego nieba. Mrok gęstnieje. Kontury pni tracą swą wyrazistość, nikną, rozpływają się w morzu podnoszącego się oparu. Rzeźki dech chłodu, zrodzony wśród błot i mokradeł, przenika głębie leśne, lekkim dreszczem ożywia znieruchomiałe Wasze ciała, dusząc coraz intensywniej ciepłe prądy, bijące od nagrzanych sosnowych gąszczarów. Zamilkła już sójka, uciszyła się i terkocąca muzyka dzięcioła.

Nagle uroczystą ciszę wieczoru zmącił daleki lecz bardzo wyraźny łopot mocarnych skrzydeł porywającego się dużego ptaka. Chwila ciszy, poczem jeszcze wyraźniejszy trzask w czubie nieopodal rosnącej sosny. I nie przebrzmiało nawet echo gromkiego zapadu na konarze drzewa, trzeszczącym pod ciężarem sadowiącego się ptaka, kiedy popłynął w zamarłe głębie ostępu niski, basowy odzew: rek-a-u. To zapadł głuszec, stary kogut, prowodyr tokowiska, by jutro z tego miejsca posłać w las tajemnicze strofy swej oryginalnej pieśni o wiośnie i miłości.

I znowu cisza. Szaro — siny kobierzec zmroku rozesłał się szeroko na ziemi, przykrywając całkowicie kępy mchu, łany wrzosów i barwne krzaki silnie pachnącego bagna. Zbliża się noc wiosenna, czas tajemniczych szmerów, cichych skradających się stąpań i szelestów, jakichś pisków nieznanych i pluśnięć potrąconych kałuż wodnych. Boi się Pani mroku w dzikiej puszczy, widzę ramię Jej przywierające coraz silniej do męża, widzę błysk zaniepokojonych oczu, rozglądających się nieufnie po otoczeniu.

Wtem górne strefy powietrza targnął jakiś szum, niby daleki powiew nagle rodzącego się wiatru. Nad głowami przemknęła czarna sylweta lecącego tokowika, który z łomotem usiadł na sąsiedniej sośnie, zakrektał, a zapad jego, niby głośny odgłos strzału, przeleciał nad uśpionym mszarem. Na głos tego ptaka basowem krektaniem odpowiedział pierwszy kogut.

Widziała więc Pani nareszcie żywego głuszca, jego długą, wyciągniętą szyję, jego sierpowato zagięte potężne skrzydła i piękny wachlarz lekko rozpostartego w locie ogona. Zamarła Pani w bezruchu. Z zatajonym oddechem śledzi wzrokiem ukrytego w gąszczu gałęzi koguta, bojąc się nawet poruszyć. Dostrzegła go wreszcie Pani, jak tkwi nieruchomo z bacznie nastawioną głową i zdaje się badać otoczenie. Wreszcie drgnął, sfrunął na inną sosnę, znowu zakrektał, skubnął od niechcenia kilka pęczków igliwia, wreszcie wciągnął szyję w ramiona i zdaje się zasypiać. A tymczasem na wyspie zapadły jeszcze trzy głuszce.

Noc już zupełna. Na niebie zapalają się kolejno coraz to nowe błyski gwiazd. Wycięta tarcza księżyca wstała za borem, rzucając na leśne podłoże skąpe, przefiltrowane przez kolumnadę pni promyki białego, martwego światła. Drzewa i zarośla stopiły się w jednolitą czarną ścianę, w której, niby rzadkie belkowanie, wyróżniają się bliższe i grubsze zarysy stojących żywych kloców.

Głuszce już posnęły — można się wycofać z terenu tokowiska. Badając starannie grunt wysuwanemi stopami — noga za nogą, cichutko, unikając suchych gałązek i krzaków — posuwacie się w kierunku dzikiej dróżki leśnej, która zaprowadzi Was do domu. Oddaliliście się już o ćwierć kilometra od zasadzonych ptaków, więc świecąc latarką przyśpieszacie kroku i po półgodzinnym marszu dostrzegacie w mrokach nocnych mdłe światełka lamp w oknach gajówki. Macie Państwo zasadzonych na zapadzie pięć kogutów — oby tylko zechciały jutro grać!

*

Głuchy, zgrzytliwy gong starego ściennego zegara poderwał Was z posłania. Jest godzina pierwsza w nocy. Mała lampka naftowa, dotknięta płonącą zapałką, przyćmionem światłem zalewa izbę, pozwalając szybko wdziać na siebie ciepłe ubranie, buty z cholewami i pozbierać potrzebne do wyprawy przedmioty. Gotowi do drogi, wychodzicie wkrótce potem na dwór, gdzie już czeka gajowy-przewodnik, by przekonać się jaka jest pogoda. Od niej bowiem w znacznej mierze zależy powodzenie dzisiejszych łowów.



Po powrocie do kurenia. Fot. L. Pac Pomarnacki

Ogarnia Was tchnienie pogodnej, trochę chłodnej nocy. Ziemia tonie w czarnej, przerażającej ciemności, w której najbardziej nawet wytężony wzrok nic dojrzeć nie potrafi. Wysoka, sklepiona kopuła nieba mruga tysiącami gwiazd, migocących jak iskry. Gdzieś w oddali odzywa się monotonne poszczekiwanie psa, pozatem cisza panuje niczem niezmącona. Wiatru niema ani śladu.

Wychodzicie z opłotków, wyczuwając jedynie stopami niewyraźny szlak mało uczęszczanej dróżki. Oczy wolno przyzwyczajają się do panującego mroku i zaczynają rozróżniać niektóre większe przedmioty. Olbrzymia otchłań lasu wchłania Was teraz całkowicie. Rozrosłe korony i nawisłe gałęzie drzew potęgują jeszcze bardziej wrażenie okropnych ciemności szerzących się dookoła, budzą nastrój dziwnej powagi, może nawet grozy. Grunt obniża się wyraźnie, pod stopami mlaskają pierwsze tafle błota. Dotarliście do kładek.

Świecąc latarkami — idziecie po czarnych, nasiąkłych wilgocią drągach, przerzuconych przez większe kałuże mętnej, bagiennej wody. Ścieżka, jak wąż, wije się pomiędzy kępami, omija głębsze doły, prześlizguje się przez lśniące błotem bajora. Kładki uginają się i skrzypią, zdając się oburzać na niepokojących je nocnych intruzów.

Szybkim krokiem zdążacie naprzód. Droga, możliwa do przebycia przy świetle dziennem w ciągu kilkudziesięciu minut — teraz przewleka się w nieskończoność. Ale wkroczyliście znowu na suchszy teren, po którym stopy suną się z łatwością, łamiąc drobne gałązki i szkielety obumarłych wrzosów.

W lukach pomiędzy wyniosłemi sosnami ukazują się coraz większe połacie wygwiażdżonego nieba. Dotarliście do brzegu dużej polany. Zbaczacie teraz trochę w lewo i niebawem stajecie przed jakąś wysoką, szpiczastą kopą. W świetle latarki poznajecie z przyjemnością dużą budę, utkaną starannie z łapek świerkowych, przed którą spoczywa stos narąbanego drzewa. Jesteście przy kureniu, zwanym inaczej budanem.



Trofeum z udanego podchodu. Fot. L. Pac Pomarnacki

Z uczuciem ulgi rozsiadacie się wygodnie na przygotowanych ściętych pniakach, dając sforsowanym nogom chwilę wypoczynku. Gajowy kucnął na ziemi i z małej kupki suchego igliwia roznieca ognisko. Z sykiem i trzaskiem buchają czerwone języki płomienia, liżące chciwie pęczki chróstu, unosząc hen, wysoko w górę roje jarzących się iskier, gasnących pod koronami drzew. Snop siwego dymu spiralną kolumną idzie ku niebu, porywając ze sobą drobne płatki szarego popiołu. Początkowo mały krąg blasku rozszerza się coraz intensywniej, oświetlając dokładnie kureń i najbliższe jego otoczenie. W mdłej, chybotliwej poświacie połyskują złowrogo oparte o ściany budanu strzelby. Pnie pobliskich drzew, oblane czerwonym refleksem ognia, robią wrażenie kolumn jakiejś pogańskiej świątyni, rozjaśnionej zniczem; ich wierzchołki, obarczone nawisłemi kiściami gęstego igliwia, układają się w fantastyczne kształty dziwacznych pióropuszów, albo ogonów niesamowicie egzotycznych ptaków.

Wesoło płonie i trzaska leśne ognisko, miłym, ciepłym powiewem muskając twarze, lecz niebo blednie i jaśnieje, mgliste iskierki dalszych gwiazd stopniowo gasną i zanikają. Rodzi się pierwszy brzask jutrzenki. W ciszy nocnej rozległ się dźwięczny, jak sygnał trąbki, nieco spazmatyczny okrzyk żórawi. Leci przewlekłem, tęsknie modulowanem echem nad zamglonym obszarem błot, nad czarną ścianą budzącego się lasu.

Czas iść na tokowisko. Powstajecie, przy blasku ogniska nabijacie broń, uważając pilnie na numer śrutu wpychanych do komór ładunków. Potem wolnym krokiem zagłębiacie się ponownie w mroczny labirynt lasu i noga za nogą posuwacie się przez ostatnie kładki ku tonącemu w nocnej ciszy ostrowowi. Stąpacie bezszelestnie, jak duchy, prawie nie słysząc własnych kroków.

Ale droga nie jest zbyt łatwa ani wygodna. Skrzypi donośnie deptany kożuch zeschłych wrzosów, trzaskają zmurszałe patyki niewidoczne w mroku, pluskają rozlane kałuże wody. Trzeba stąpać ostrożnie i starannie badać stopami leśne podłoże. Napięcie nerwów i zmęczenie dają się już odczuwać. Jest Wam gorąco, choć ranek zapowiada się mroźny. Nareszcie jesteście u celu wędrówki, nawykłe do ciemności oczy rozpoznają wczorajsze miejsce podsłuchów. Zatrzymujecie się — gajowy odchodzi, by zaczekać na Was do świtu przy dróżce leśnej.

Oparci o chropawe pnie sosen, stoicie bez ruchu — czekacie.

Niebo na wschodzie blednie coraz bardziej, odcinając się wyraźnie od ciemnej opony rozpostartej nad Waszemi głowami, na której tle bliższe konary sosen mgliście zarysowują się w formie niekształtnej siatki. W nieforemnych wielokątach nieboskłonu, widniejących pomiędzy czubami drzew, świecą roje błyskotliwych gwiazd, jarzących się, jak rozpalone węgielki, lecz jednak blask ich jest już jakiś inny, mniej wyrazisty niż przedtem. Widać, że zbliża się świt, który powodzią światła zaćmi te niepozorne, dalekie iskierki. Mętny, czarny pokrowiec, wyściełający dotąd ziemię, pstrzy się obecnie wyraźniejszemi plamami ciemnych kęp wrzosów i jasnych, okolonych spłowiałym torfowcem kałuż.

W zasnutym mrokiem borze, przeciągle huka puszczyk. Głos jego rozlega się ponuro i złowieszczo, niby daleki szloch, przeplatany atakiem szaleńczego śmiechu.

Pani boi się tego dźwięku, drgnęła i spogląda zalękniona na męża, lecz widząc jego nieruchomą sylwetkę — uspokaja się zupełnie. Tymczasem górą nad lasem ciągnie para kaczek. Słychać gwiżdżący rytm skrzydeł i chrapliwe nawoływanie roznamiętnionego kaczora.

Wtem cicha, śpiąca jeszcze puszcza wypełnia się zgiełkliwą, brzmiącą, jak odzew mosiężnych surm, wrzawą nawoływań żórawich. Wysokim dyszkantem, uzupełnionym wtórem o tonie czystego altu, krzyczą obudzone ptaki, zdające się upajać strofami swej dźwięcznej kantaty, rozlegającej się daleko, na całe kilometry, w ciszy wiosennego poranku.

Umilkły żórawie. Lekki, ledwie wyczuwalny powiew wietrzyka musnął wyniosłe, znieruchomiałe czuby sosen, przenikając rzeźkim chłodem leśne głębiny, docierając pod szczelnie zapięte sukienne kurtki.

I wtedy po raz pierwszy gdzieś w głębi ostrowu tajemniczo zaklapał głuszec. Czysty, ostry dźwięk, jak uderzenie młoteczka, szarpnął nerwami, niby prąd elektryczny. Nie słyszała Pani dotąd nigdy w życiu pieśni głuszca, wiedziała o niej tylko z entuzjastycz-

nych opowieści męża i z literatury łowieckiej, a jednak wyczuła odrazu, że to jest właśnie owa tajemnicza gra królewskiego ptaka. I choć w dźwiękach tych nie było nic melodyjnego, nawet nic specjalnie interesującego, ot takie jakieś dźwięczne stukanie, to jednak zaczęła Pani dziwnie teraz drżeć z jakiejś niewytłomaczonej emocji, serce bije się w piersiach, jak złapany ptak, krew uderza do głowy. To urywane, kościane klapanie elektryzuje, podnieca do najwyższego stopnia, wprowadza w stan nerwowej ekstazy i zapomnienia. Żar ogarnia twarz, przykra suchość dławi w gardle. Skamieniała, z otwartemi ustami, wpatruje się Pani tylko w bukiet drzew, skąd dolatuje oryginalna, jedyna w swoim rodzaju tokowa pień ptaka.

I mimowoli zastanowiła się Pani nad tem, skąd pochodzi ten dziwny stan, ogarniający człowieka stojącego pod pieśnią królewskiego ptaka. Przecież sama pieśń nie obfituje w różnorodność tonów i dźwięków, nie zachwyca też artyzmem modulacji, ani siłą swego wyrazu. Wręcz przeciwnie — jest jakaś skromna, prawie nieśmiała, jakby bojąca się zabrzmieć donośniej w nastrojowej ciszy wiosennego brzasku. Ale właśnie ta jej tajemniczość, ta pewnego rodzaju niesamowitość, prawie egzotyka wywiera tak oszałamiające wrażenie. Cisza panująca o tej porze w puszczy, rodzący się brzask dnia i na tem tle dziwna, elektryzująca pieśń ptaka — wszystko to razem wpływa na wywołanie tego czarownego, pełnego romantyzmu nastroju, który ogarnia z przemożną siłą duszę wrażliwego na piękno człowieka. I Pani, choć usłyszała głuszca dopiero przed chwilą, a już jest całkowicie pod nastrojem jego niezrównanej pieśni i marzyć o niej będzie odtąd w każdą wiosnę.

A głuszec po długiem wstępnem klapaniu zagrał wreszcie pełną strofę. Podwójne, początkowo urywane dźwięki szły kolejno po sobie z coraz większym pośpiechem, aż wreszcie zlały się w perlistą gamę pieśni, spadającej gwałtownie ku tonom coraz niższym, zakończonej powtórzonym pięciokrotnie jakby sykiem, czy skrzeczeniem, noszącem oficjalną nazwę „szlifowania". Z zaciekawieniem łowi Pani uchem pełną strofę głuszcową, stara się utrwalić w pamięci jej oryginalne brzmienie. Trudne to zadanie. Można jedynie zapamiętać fonetyczny schemat pieśni: py-tyk, py-tyk, py-tyk, tyk-tyk-tyk-da-ra-teuk, czeczahaszy, czeczahaszy, czeczahaszy, czeczahaszy, czeczahaszy — ale dokładnie nikt jej odtworzyć nie potrafi.

Z ciemnych konturów sosny, nasiąkającej bladą jasnością świtu, płynie nowa pieśń. Przeczekaliście Państwo przewlekłe wstępne klapanie i zaraz po tonie głównym daliście śmiałe trzy kroki. Rozpoczynacie podchód. W miarowym rytmie pieśni stawiacie szybko nogi, nie zważając wcale na czyniony podchodem hałas. A jednak każdy głośniejszy trzask zmurszałej gałęzi, każde plusnięcie wody, czy chrzęst miażdżonego krzaka bagna — nerwowym skurczem przeszywa Wam serca. Nie wierzycie sobie, boicie się, że jednak głuszec może posłyszeć, przerwie pieśń, albo nawet z głośnym, alarmowym trzaskiem skrzydeł odleci w dal. Ale on na szczęście jednak nie słyszy, gra dalej, gra coraz piękniej, coraz namiętniej, jak upojony melodją artysta. Kaskady pieśni płyną nieprzerwanie, perliście, jak srebrny szmer strumyka. Puszcza milczy, słucha w nabożnem skupieniu serenady natchnionego śpiewaka, siedzącego w okrytych cieniem konarach starej rosochatej sosny błotnej.

Już dnieje. Nikły blask świtu zalewa knieję, pozwalając oku rozróżnić dokładnie wszystkie przedmioty otoczenia. W tej pierwszej fali światła srebrną makatą lśni okryte szronem przymrozku leśne podłoże, dywan wrzosów, bagna i mchu. Z przyległej polany dolatuje rytmiczny bełkot cietrzewia, przerywany chwilami spazmami czuszykania. Na bagnie daleko szczeka spłoszony rogacz.

Pieśń głuszca płynie bez przerwy. Wstępne klapanie zanika, skraca się coraz bardziej, przechodząc odrazu w staccato strofy właściwej i szmermel szlifowania. Gdzieś wśród drzew na szyi błotnej, połyskującej taflami rozlanych kałuż wodnych, zaczyna grać drugi kogut, daleko, w głębi wyspy odzywa się już trzeci.



Rezultat 3-ch ranków (Woj. lubelskie) wagi: 4,90; 4,65; 4,60 kg.
Fot. L. Pac Pomarnacki

Po dwa — trzy szybkie kroki w czasie szlifowania suniecie Państwo ku ukrytemu pieśniarzowi. Droga staje się coraz bardziej uciążliwa. Teren obniża się, pomiędzy kępami donośnie chluboce woda. Zbite, wysokie na metr krzaki bagna, kryjące w swem wnętrzu zdradzieckie zmurszałe sęki, co chwilę zagradzają przejście. Trzeba je omijać ze stratą drogocennego czasu, albo przesadzać długim skokiem, narażając się na niebezpieczny hałas. Serce bije z wysiłku przyśpieszonym rytmem, dziwna suchość dusi, dławi w gardle. Zatrzymujecie się na przeciąg jednej strofy, by odetchnąć swobodniej.

Pieśń głuszca słychać teraz ze wszelkiemi szczegółami. W tych nikłych napozór, kościanych dźwiękach tętni życie, drży szał niepohamowanej namiętności. Aż dziwno, że tego przedtem się nie wyczuwało. Słychać nawet skrzypienie gałęzi i szmer poruszanych piór. Gdzieś tuż, bliziutko musi już siedzieć wspaniały trubadur wiosny, upojony szczęściem, pogrążony w ekstazie własnej gry.

Nowy skok i w połowie drugiego kroku stajecie Państwo, jak wryci. O dwadzieścia metrów przed Wami, na suchym sęku starej sosny, dobrze widoczna na tle jasnego już obecnie nieba widnieje piękna, harmonijna sylweta tokującego głuszca. Z rozłożonym estetycznie wachlarzem, z lekko opuszczonemi w dół lotami siedzi królewski ptak profilem, oblany smugą rodzącego się światła. Dumną głowę wzniósł wysoko i śpiewa budzącemu się wiosennemu porankowi, śpiewa nawet podstępnym ludziom, czającym się pomiędzy pniami drzew.

Stoicie, jak martwi, jak skamieniali, wpatrując się w drżącego w rozkosznym dreszczu toku koguta —

głuszca. Jednem pociągnięciem za spust dubeltówki możecie go zabić, możecie gromem upadku zwalić ogromnego ptaka z drzewa — sobie pod nogi. Podziwialibyście wówczas piękny bronzowy odcień skrzydeł, hebanowo-czarny, przecięty pasem białych plam wachlarz, czy zieloną połyskującą tarczę piersi. Może imponowałby Wam jego pokaźny ciężar, może głaskalibyście w zachwycie miękki atłas upierzenia, ale byłby to już ptak martwy, niemy na wieki. W hallu waszego mieszkania, tkwi wypchany w pozie tokującej kogut, zabity przed laty przez męża. Jest piękny! Spoglądacie nań z przyjemnością, prawie z zachwytem, ale ptak ten jest jednak jakby sztuczny, bez życia. Czy chcecie mieć na obiad jeszcze jedno pieczyste z głuszca i nowy okaz wypchanego koguta na ścianie? Jeżeli przyśliście z tem, by nim zawładnąć, by go zabić — to przynajmniej nie śpieszcie się ze strzałem. Pozwólcie, niech zagra Wam jeszcze kilka swych tajemniczych pieśni, niech nasyci Wasz wzrok piękną sylwetą swej kształtnej, niezapomnianej postaci.

Słońce już wzeszło. Długie, migotliwe jego promienie przeszyły ukośnemi strzałami głębie leśne, musnęły Wasze sylwetki, opadły i na głuszca. Ptak skończył tok, umilkł, złożył wachlarz, poruszył się i, porwawszy się z głośnym łopotem — spłynął ukosem na pobliski mszar.

Szczęśliwi, roześmiani powracacie w milczeniu do budanu. Jesteście wciąż jeszcze pod wrażeniem zasłyszanej pieśni. Oczarowała Was ta niezrównana, a przecie napozór tak skromna serenada puszczańskiego pieśniarza. Darowaliście mu życie — niech gra, gra tak cudownie, jak dziś. Jutro jeszcze i pojutrze przyjdziecie go posłuchać i podejść, by obraz jego wspaniałej sylwety i dźwięki pieśni utrwalić w pamięci, zabrać ze sobą do dalekiego miasta i na cały rok pracy, zmagań i trudów.

*

Skończyłem swą opowieść i nie wątpię, że w przyszłym roku pojedzie jednak Pani z mężem na toki. A gdy powrócicie do domu i rozkoszne dni łowów pozostaną daleko za Wami — patrząc na piękną sylwetę wypchanego głuszca, wspólnie już wówczas marzyć będziecie o czarze wiosny w puszczy.

LEOPOLD PAC POMARNACKI

ZA GŁOSEM „BARANKA"

Przytaczając w Łowcu Polskim (Nr. 7 r.b. str. 214 „Niesamowity tok") zaobserwowany furkot sterówek — wiszącego na troczku bekasa, przypominający wiosenne odgłosy „baranka", zamierzałem zachwiać pokutującym tu i owdzie jeszcze przekonaniem, że dźwięki te wydaje kszyk gardłem, a pozatem zachęcić osoby kompetentne*) szczególnie zaś miłośników fotografji — do ostatecznego wyświetlenia przebiegu toków miłego długodzioba.

Dyskusję zapoczątkowały uwagi, przytoczone w odnośniku do wymienionej notatki, uzupełniające moje spostrzeżenia (niekompletne raczej niż „nieścisłe"), że poza furkotem sterówek w locie — roztokowany wiosną bekas wydaje gardłem dźwięki — „ciuku, ciuku, ciuku, ciukut, ciukut" — siadając przytem czasami na grubych gałęziach drzew.

Ciekawa ta obserwacja nasuwa mi pytania: a) czy odgłosy, przypisywane przez p. W.W.G. samczykowi bekasa, nie są poprostu wabem samiczki — wydawanym zwykle na ziemi — jak to dość powszechnie twierdzą myśliwi rosyjscy? b) czy charakterystyczny, podobny do beczenia jagnięcia, furkot sterówek tokującego kszyka jest wyłącznie cechą godową samczyka?

Usunięcie powyższych wątpliwości przyczyniłoby się w znacznym stopniu do spopularyzowania wśród ogółu myśliwych faktów prawdopodobnie znanych ornitologom, wzmiankowanych być może nawet w odnośnej literaturze; przypuszczam zatem, że apel mój znajdzie oddźwięk spodziewany.

WŁODZIMIERZ PŁUŻAŃSKI

*

Poza kwestją otrzymania nader ciekawych i cennych zdjęć, robienie zdjęć dla rozstrzygnięcia poruszonej kwestji jest zbędne. Samiczka bekasa wydaje głos, nie jednak, jak przypuszcza Szanowny Autor, „cieku, cieku, ciekut, ciekut, który jest niewątpliwie głosem tokującego samca, a głos: „czhi, czhi", dmuchający, który wydaje siedząc na ziemi. Przy pomocy naśladowania tego głosu ustami, co nie jest trudnem, można „posadzić" każdego tokującego w powietrzu bekasa, to jest skłonić go do natychmiastowego opuszczenia się na ziemię, a nawet do podejścia piechotą do wabiącego na kilka kroków, co mi się raz osobiście udało, przyczem bekas kroczył z wielką powagą.

Natomiast widziałem raz tokującego w powietrzu bekasa, wydającego głosy zarówno becząco furkocące, jak i wspomniane „cieku, cieku", który w moich oczach, wprost z powietrza, siadł na grubym konarze osobno stojącej nad brzegiem łąki wysokiej barci i począł odzywać się wspomnianym wyżej głosem „cieku, cieku, cieku, cieku". Beczących głosów nie wydawał, gdyż to oczywiście dla siedzącego na drzewie bekasa było niemożliwem. Podobnie nikt nie słyszał, aby bekas wydawał „beczące" odgłosy siedząc na ziemi. Natomiast głosy „ciekut, ciekut" wydaje siedząc na ziemi dość często.

Z tych spostrzeżeń, z fragmentami których spotykałem się również w niektórych dziełach ornitologicznych i myśliwskich, wypływa niewątpliwie, że samiczka bekasa wabi się głosem „czki, czki", zaś samiec głosem „cieku cieku, cieku" wydając przy tem o ile jest w locie, w czasie planowania, furkocące odgłosy sterówkami, które przypominają beczenie i uzyskały dla niego w niektórych językach nazwę „baranka".

Dodać jeszcze należy, że latającej „w sposób godowy" samiczki bekasa nikt nigdy nie widział, że latające „w sposób godowy" osobniki zawsze wydają zarówno „beczące" głosy jak i owe „cieku, cieku", stwierdzając tem swoją przynależność do rodzaju męskiego, wobec czego należy dojść do przekonania, że wydawanie beczących odgłosów, jak i wogóle igranie w powietrzu, jest wyłącznym atrybutem samczyków.

W. W. G.

---

*) Przypuszczam, że dałoby się doskonale rozpoznać poszczególne fazy toku bekasa zapomocą zdjęć kinematograficznych; zachęcam gorąco do podjęcia odnośnych prób amatorów czy zawodowców, rozporządzających odpowiedniemi aparatami. (Przyp. autora nie zamieszczony przez Redakcję przy notatce: „Tok niesamowity".)

PRZEGLĄD PTAKÓW KUROWATYCH

(Dokończenie)

Rodzina *Phasianidae*, nie mówiąc już o gatunkach, obejmuje tak wielką ilość rodzajów, że krótkie nawet omówienie każdego z nich zajęłoby bardzo wiele miejsca, zwiększając kilkakrotnie treść niniejszego szkicu, zaś proste wyliczenie ich nazw nie miałoby oczywiście sensu. Streszczając się, muszę więc pominąć je poprostu. Zatrzymam natomiast uwagę czytelnika na bażantach (rodzaj *Phasianus)* oraz niektórych gatunkach pokrewnych.

Otóż jeśli chodzi o bażanty właściwe (tak nazywam formy, zaliczane do rodzaju *Phasianus)*, to systematyka ich bynajmniej nie jest tak prosta, jakby się na pozór zdawało. Dość powiedzieć, że podczas gdy jedni ornitolodzy wyróżniają do 20 gatunków tego rodzaju z 46 podgatunkami, inni uznają tylko 2 gatunki *(Phasianus colchicus i Phasianus versicolor)*, naturalnie z szeregiem podgatunków, a jeszcze inni — zaledwie jeden gatunek z czterdziestu kilku podgatunkami. Ma nim być *Phasianus colchicus*. Jak z tego widać, trudność zagadnienia jest bardzo duża, nie będę się więc nad niem dłużej zatrzymywał. Sprawie systematyki bażantów, ze względu na ten specjalnie interesujący myśliwych temat, należałoby tu poświęcić szkic osobny. Poprzestanę tylko na wyliczeniu form najbardziej znanych w Europie, trzymając się poglądu, że wszystkie bażanty właściwie należą do jednego gatunku.

Wygląda to w sposób następujący:

Phasianus colchicus colchicus — kraje, leżące w sąsiedztwie wschodnich i południowo-wschodnich wybrzeży morza Czarnego.

Phasianus colchicus septentrionalis — północna strona Kaukazu.

Phasianus colchicus talischensis — niziny na południowym zachodzie morza Kaspijskiego.

Phasianus colchicus persicus — północno-wschodnia Persja, południowo-zachodnie części Kraju Zakaspijskiego.

Phasianus colchicus mongolicus — Kraj Ussuryjski.

Phasianus colchicus semitorquatus — Dżungarja.

Phasianus colchicus turcestanicus — Turkiestan.

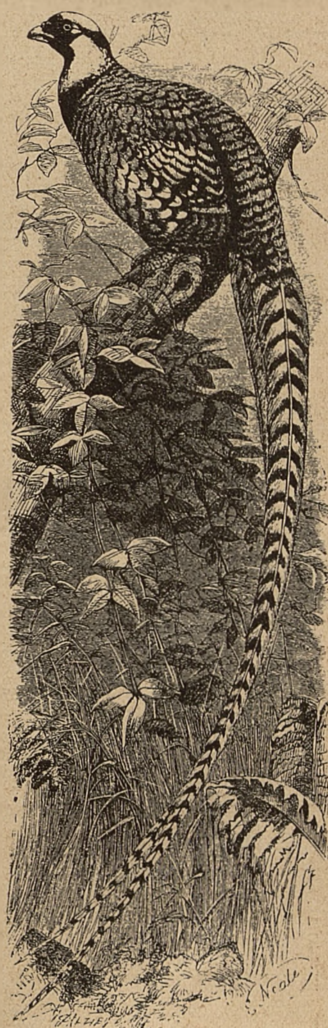
Phasianus colchicus torquatus — południowo-wschodnie Chiny.

Phasianus colchicus versicolor — Japonja.

Krótko mówiąc, *Phasianus colchicus* zamieszkuje znaczną część Azji, od wybrzeża morza Czarnego aż po ocean Spokojny, wytwarzając na tej przestrzeni znaczną ilość form geograficznych (podgatunków).

Od niepamiętnych czasów bażanty były sprowadzane i są sprowadzane do Europy. Tu różne ich podgatunki, względnie — według innych poglądów — gatunki, uległy i ulegają w dalszym ciągu krzyżowaniu, tak że obecnie bażanty europejskie nie są czystemi rasami, lecz mieszańcami, wykazującemi w takim lub innym stopniu cechy swych różnorodnych przodków.

Do najbliszych krewniaków rodzaju *Phasianus* należą rodzaje: *Syrmaticus*, *Calophasis*, *Chrysolophus*, *Gennaeus*, *Crossoptilon*. Rodzaj *Syrmaticus* ma jeden tylko gatunek. Jest to mniej więcej znany naszym myśliwym bażant królewski *(Syrmaticus reevesi)* o wspaniałym, dwumetrowej długości ogonie. Zamieszkuje on góry północnych i środkowych Chin. Blisko z nim spokrewniony jest rodzaj *Calophasis* z Japonji, o ogonie znacznie krótszym. Wielką barwnością i pięknem upierzenia odznaczają się bażanty kołnierzaste (rodzaj *Chrysolophus)*. Samce ich charakteryzują się długim czubem na głowie oraz wielkim kołnierzem, okrywającym nietylko szyję, ale i górną część pleców. Należą tu dwa gatunki: bażant złocisty *(Chrysolophus pictus)*, zamieszkujący Chiny południowe i bażant diamentowy *(Chrysolophus amherstiae)* występujący w zachodnich częściach Chin południowych. Wspaniałym, srebrzysto białym z czarnem upstrzeniem płaszczem i ogonem tejże barwy odznacza się samiec bażanta srebrzystego *(Gennaeus nycthemerus)*, zamieszkującego Chiny południowe.



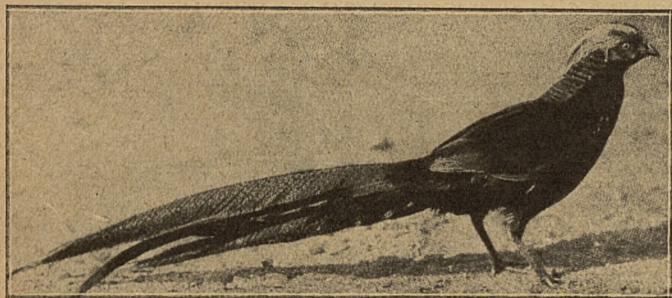
Bażant królewski
(Syrmaticus reevesi)

Wszystkie te gatunki z budowy i biologji przypominają bażanty właściwe *(Phasianus)*. Natomiast dużo silniejszą budową odznaczają się satyry *(Crossoptilon)*, wydające się też znacznie większemi niż są w istocie, dzięki bardzo puszystemu sutemu upierzeniu. Od bażantów właściwych i ich najbliższych krewniaków różnią się one tem jeszcze, że obie płci są u nich podobnie zabarwione; samice nie mają jednak ostróg. Pióra boków głowy są u nich znacznie wydłużone i skierowane ku górze: tworzą one coś nakształt pierzastych uszu, co też zjednało tym ptakom nazwę bażantów uszatych. Satyr chiński *(Crossoptilon auritum)* ma wierzch i tył głowy czarne, nieopierzone części boków głowy czerwone, podbródek, gardziel i „uszy" białe, lotki ciemnobrunatne, sterówki niebieskawo-szare, u nasady białe; pozostała część upierzenia jest niebieskawo-szara.

Nie chcąc nadmiernie przedłużać niniejszego szkicu, nie pisałem nic o obyczajach bażantów, co zresztą uważałem za zbędne z tego względu, że są one znane naszym myśliwym, przynajmniej z Europy. Satyrom natomiast należy tu poświęcić nieco miejsca. Znakomity nasz podróżnik Mikołaj Przewalski w ten sposób pisze o satyrze chińskim: „Ciekawy ten ptak, zwany przez Tangutów „sziaramą", zamieszkuje licznie lesiste góry Gań-Su, brak go natomiast zupełnie w pozba-

wionych lasów grzbietach północnego Tybetu. Miejscami pobytu sziaramy są lasy górskie, obfitujące w skały i krzewiaste zarośla; w takich lasach satyr ten trzyma się do wysokości 10.000 stóp. Opisywany ptak żywi się, jak się zdaje, specjalnie pożywieniem roślinnem, wiosną przynajmniej znajdowałem w wolu tych ptaków wyłącznie młodą zieleninę, pączki, liście berberysu, a przedewszystkiem korzenie różnych traw. Żerując satyr kroczy zwolna, trzymając poziomo swój wspaniały ogon.

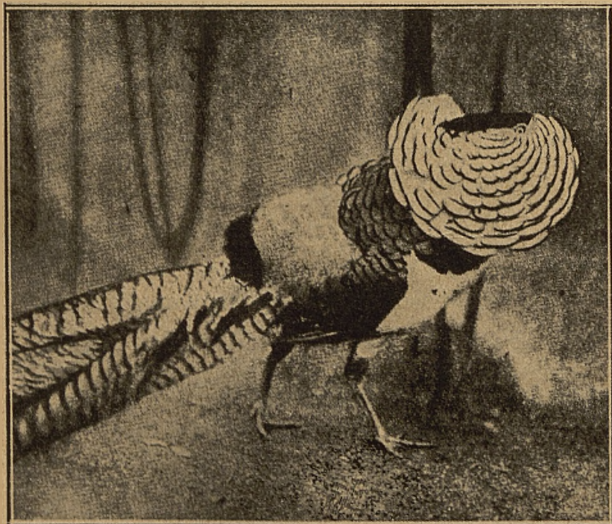
Wiosną i jesienią sziarama trzyma się w niewielkich stadkach, które często obsiadają drzewa, być może w celu objadania pączków. Wiosną ptaki te rozbijają się na pary, z których każda zajmuje określoną przestrzeń, na której wywodzi młode. Według słów Tangutów, gniazdo, zbudowane z trawy, zakładane jest w gęstych zaroślach; bywa w niem 5 do 7 jaj.



Bażant złocisty *(Chrysolophus pictus)*, str. 379.

Zimą myśliwi tanguccy strzelają bażanty na drzewach, a częściej łowią je we wnyki, zastawiane w miejscach, gdzie ptaki te najwięcej łażą. Główną zdobyczą zawodowych myśliwych jest ogon, z którego cztery środkowe, wydłużone, strzępiaste sterówki są używane do paradnych kapeluszy oficerów chińskich.

Wczesną wiosną, jak tylko ptaki pójdą w pary, samce zaczynają tokować. Głos ich, bardzo nieprzyjemny, przypomina krzyk pawia, jest jednak mniej donośny; podobnie odzywa się, jak się zdaje, i samica. Prócz tego satyr ten (nie wiem jednak: samiec czy samica) wydaje zrzadka głuche dźwięki, przypominające nieco gruchanie gołębi; wreszcie spłoszona, krzyczy sziarama niekiedy podobnie, jak perliczka.



Bażant diamentowy *(Chysolophus amherstiae)*, str. 379

Jednak w okresie godowym ptaki te nie tokują tak prawidłowo, jak bażanty lub cietrzewie. Samiec satyra krzyczy tylko zrzadka po nieokreślonych przerwach, zwykle po wschodzie słońca, chociaż głos jego daje się słyszeć niekiedy i przed wschodem, jak również w czasie dnia, koło południa. W każdym razie odzywa się on rzadko, tak że w czasie całego ranka głos jednego ptaka słyszeć się daje nie więcej niż pięć, sześć razy.

Ta nieokreśloność toków, przy wielkiej ostrożności ptaka, powoduje, że polowanie na niego, przynajmniej wiosną, jest bardzo trudne i uciążliwe. Te trudności zwiększone są jeszcze przez sam charakter miejsc, które sziarama zamieszkuje. Najgęstsze zarośla rododendronów na północnych stronach szczelin skalnych, oraz kolących krzewów na ich stronach południowych, wszędzie strome, niemal przewieszone zbocza gór, dzikie skały, gęsty las z odłamkami suchych opadłych gałęzi i zeszłorocznemi liśćmi — wszystko to razem wzięte składa się na tak nieprzychylne do polowania warunki, że śmiało można je uważać za jedno z najtrudniejszych. O braniu z sobą wyżła niema co nawet myśleć, gdyż w podobnym terenie staje się on zupełnie nieużyteczny, a nawet niekiedy trudno jest mu towarzyszyć myśliwemu, który musi się wspinać na skały. Tak więc myśliwy zdany jest jedynie na własny słuch i wzrok. Ale to często zawodzi: ostrożny ptak prawie zawsze zawczasu zobaczy lub usłyszy myśliwego i zdąży skryć się szczęśliwie. Satyr rzadko kiedy wznosi się w powietrze i to



Bażant srebrny *(Gennaeus nycthemerus)*, str. 379.

tylko wówczas, gdy zostaje spłoszony nagle, zwykle zaś ucieka piechotą z szybkością bardzo dużą. Niekiedy słychać nawet szelest jego kroków z odległości kilku sążni, ale samego ptaka w gąszczu nie widać, albo też miga on tam tak szybko, że myśliwy nietylko nie zdąży strzelić, ale nawet rzucić strzelby do ramienia. Tropienie ptaka nie prowadzi do celu, zwykle znika on, jak kamień w wodzie. Prócz tego jest bardzo odporny na rany, tak że z odległości 50 kroków wytrzymuje nabój grubego śrutu i ma jeszcze siłę wznieść się w powietrze. Postrzelony w skrzydło, uchodzi piechotą i ginie w gąszczu. Słowem przed myśliwym piętrzy się tyle trudności i przypadków, że tylko rzadkość pięknej zdobyczy może go skusić na to polowanie.

Wzniósłszy się do średniej wysokości gór, polowałem z towarzyszem bardzo często na bażanty uszate. Wychodziliśmy na to polowanie na długo przed świtem; jednak w przeciągu dwu tygodni zdobyliśmy tylko dwa okazy do zbiorów. Dwu myśliwych Tangu-

tów w tym czasie polowało dla mnie dzień w dzień po górach, ale również zdobyli oni tylko dwie sziaramy i to czatując na nie przy gnieździe".

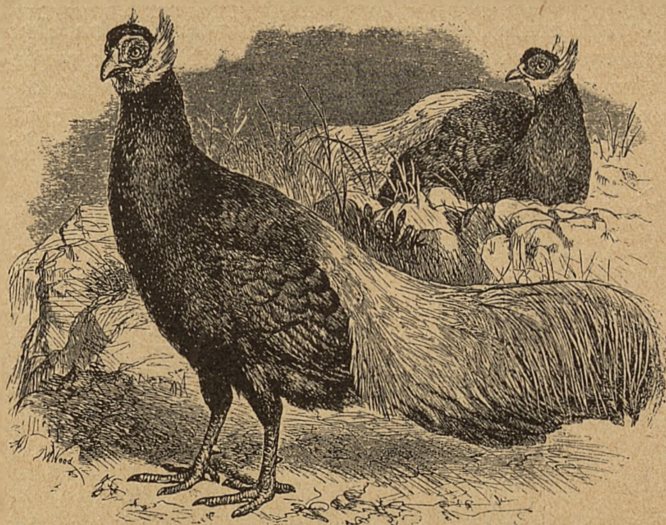
Jeszcze cięższą, silniejszą i bardziej krępą budową niż satyry odznaczają się kiśćce *(Lophophorus)*, zamieszkujące w kilku gatunkach Himalaje i niektóre inne góry Azji. Opis jednego z nich podaję według ostatniego wydania Brehma: „W wysokich lasach Himalajów żyje jeden z najpiękniejszych kuraków, kiściec ozdobny *(Lophophorus impeyanus)*. Trudno jest podać dokładny opis tego wspaniałego ptaka. Głowa, gardziel i, jakby ze złotych kłosów zrobiony, czub są metalicznie zielone; górna część szyi i pleców mieni się purpurowo-czerwono, dolna część szyi bronzowo-zielono, płaszcz i pokrywy skrzydłowe — fioletowo. Taksamo błyszczące są pozostałe części upierzenia, tylko dolna część pleców jest biała, lotki czarne, a sterówki rdzawo-czerwone. Samica, z wyjątkiem białych okolic gardzieli, jest na blado-żółtawo-brunatnem tle ciemno-brunatną barwą falowana i strychowana. Długość samca wynosi 65 cm., samica jest znacznie mniejsza. Kiściec ten jest w górach jednym z najpospolitszych ptaków łownych, latem jednak, w miarę bujnego rozwoju tamtejszych lasów, jest on trudno dostrzegalny. Częściej daje się zauważyć w pobliżu pól śniegowych, szczególnie rano i wieczorem, podczas żerowania. Zimą ptaki te zbierają się w wielkie stada i odwiedzają niżej położone miejscowości. Samice są mniej płochliwe niż samce. Bardzo jest oryginalny widok tego ptaka, gdy, przelatując większą przestrzeń, szybuje bez poruszania skrzydłami: gdy słońce gra wówczas w metalicznych połyskach jego upierzenia, wygląda on chyba na najpiękniejszego z ptaków".

Pięknem upierzenia konkurują z kiśćcami tragopany, zamieszkujące również Himalaje i niektóre inne góry Azji, aż po Bramaputrę i Chiny południowo-wschodnie. Z masywnej budowy przypominają one kiśćce. Samce tych ptaków mają na bokach głowy mięsiste wyrostki, które w porze godowej silnie nabrzmiewają i wznoszą się w górę. Wyglądają one wówczas jak rogi—stąd też nazwa tych ptaków: bażanty rogate. W tymże czasie nabrzmiewa u samców pod dziobem tejże konstytucji duży płat, zwisający ku dołowi i zakrywający gardziel. *Tragopan satyra*, zamieszkujący Himalaje, ma wierzch głowy i gardziel czarne, szyję i spód ciała — karminowo-czerwone, grzbiet brunatny. Na barwach tych występują okrągławe białe plamy, obwiedzione czarnem. Samica jest ubarwiona bardziej niepozornie.

Tragopany żyją w wysokich górach, gdzie sięgają do trzech tysięcy kilkuset metrów wysokości nad p. m. Trzymają się w gęstwinie, szczególnie chętnie w zaroślach bambusowych, w pobliżu wody. Równie często jak kiśćce, przebywają w pobliżu śniegu i równie skryty tryb życia prowadzą.

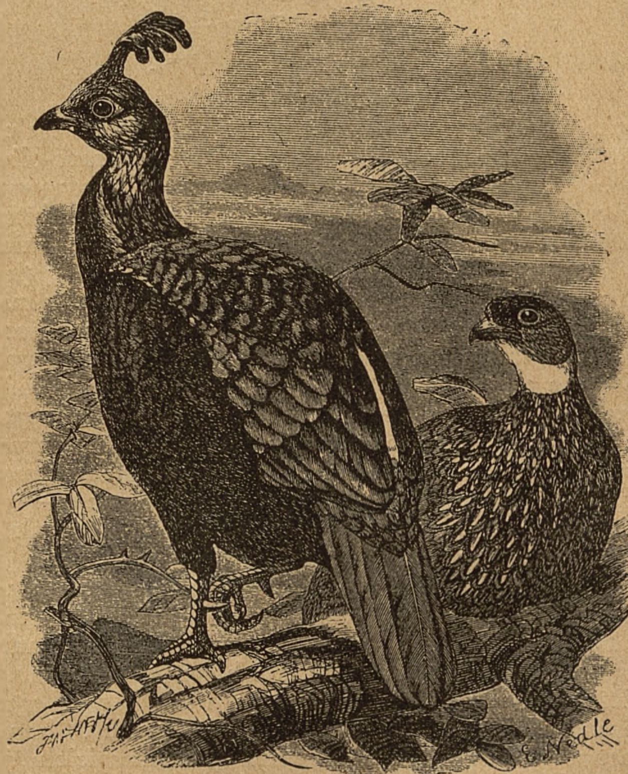
Kiśćcie i tragopany są niewątpliwie nietylko najpiękniejszemi kurakami, ale wogóle należą do najpiękniejszych ptaków. A jednak barwnością, bogactwem i wspaniałością upierzenia biją je pawie *(Pavo)*, których dwa gatunki zamieszkują Azję południową. Z nich *Pavo cristatus* został sprowadzony do Europy jeszcze w starożytności.

Na pawiach kończymy omawianie rodziny *Phasianidae*, wspomnimy tylko jeszcze, że tutaj należą również i kury *(Gallus)*, zamieszkujące Indje i archipelag Malajski. Do rodzaju tego należy 4 gatunki z siedmiu podgatunkami, a między niemi i *Gallus ferrugineus*, będący przodkiem naszych kur domowych.



Satyr *(Crossoptilon)*, str 380.

Z rodziną *Phasianidae* bardzo blisko spokrewniona jest rodzina *Odontophoridae*, czyli tak zw. przepiórów albo zębaczy. Niektórzy ornitologowie łączą nawet oba te skupienia w jedną rodzinę *Phasianidae*, dzieląc ją na dwie podrodziny: *Phasianinae i Odontophorinae*. Przepióry to skupienie nieliczne, obejmujące zaledwie 10 rodzajów z trzydziestu kilku gatunkami i przeszło 100 podgatunkami. Są to ptaki małe (jak nasza przepiórka) lub średniej wielkości (jak kuropatwa). Naogół są bardzo ładnie ubarwione, a wiele



Kiściec *(Lophourorus)*.

gatunków nosi na głowie kitkę, złożoną z kilku wydłużonych piór. Charakterystyczną ich cechą są zazębio-

ne krajce dolnej szczęki. Ich geograficzne rozmieszczenie ograniczone jest do Ameryki.

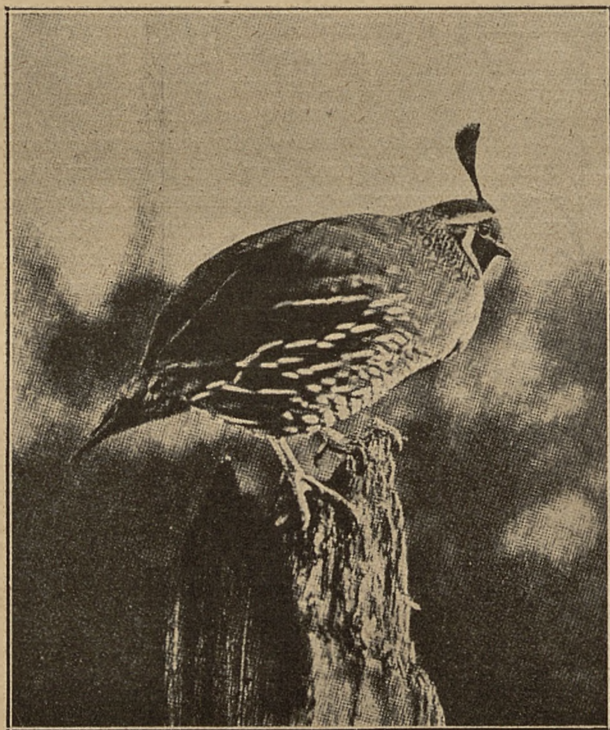
Najbardziej znanym przedstawicielem ich jest przepiór czteropiórny *(Lophortyx californicus)*, zwany też popularnie kuropatwą kalifornijską. Jest on chętnie trzymany w ogrodach zoologicznych, a to ze względu na piękne ubarwienie i miłą powierzchowność. Samiec ma czoło ochrowe, podczas gdy pozostała część głowy i gardziel są czarne, obwiedzione barwą białą.



Bażant rogaty *(Tragopan satyra)*, str. 381.

Górna część pleców i wole są szare z czarnem i białem upstrzeniem; pozostała część grzbietu jest szaro-oliwkowo-brunatna, spód ciała — ochrowy z rdzawym odcieniem i czarnem falowaniem. Na głowie kitka, złożona z czterech czarnych piór u nasady wązkich, ku końcowi silnie rozszerzonych. Pióra te są wygięte sierpowato ku przodowi. U samca kitka jest silniej rozwinięta niż u samicy, która ma też ubarwienie mniej jaskrawe. Gatunek ten zamieszkuje Amerykę północną od Waszyngtonu do Kalifornji i Newady. szczególnie liczny jest w Kalifornji, gdzie trzyma się lasów i zarośli zarówno nizinnych jak i górzystych. Żywi się pączkami roślin, jagodami, nasionami i owadami. Gniazdo buduje bardzo prymitywne — jest niem poprostu niewielkie zagłębienie w ziemi, wysłane liśćmi. Tam samica składa 15 do 24 jaj. Podobnie jak u naszych kuropatw, młodemi opiekują się oboje rodzice. Zimą ptaki te zbierają się w stada, liczące niekiedy do 1000 sztuk. Tryb życia prowadzą osiadły, względnie koczują na niewielkich przestrzeniach.

Również do Ameryki (północnej i środkowej) ograniczona jest rodzina indyków *(Meleagridae)*, której charakteryzować nie będę, gdyż przedstawiciela jej — indyka domowego zna każdy bardzo dobrze. Należy tu tylko 2 gatunki w dwu rodzajach. Nasz indyk domowy pochodzi od gatunku *Meleagris gallopovo*, zamieszkującego Meksyk północny i Stany Zjednoczone (Kentucky, Ohio, Illinois, Tennessee, Alabama). Obecnie jednak w wielu okolicach został już niestety wytępiony. Tu jeszcze raz sięgnę do Brehma, by przytoczyć pewne szczegóły z życia tego ptaka, oparte zresztą głównie na obserwacjach amerykańskiego ornitologa Audubona. „Niekiedy dzikie indyki zbierają się w wielkie stada i podejmują nieregularne wędrówki; we dnie posuwają się one przez lasy, żerując na ziemi, nocą zaś odpoczywają na drzewach. Gdy towarzystwo takie dojdzie do jakiegoś brzegu rzeki, to zbiera się na jakiemś podwyższonem miejscu i przebywa tu czas pewien, jakby naradzając się. W pewnej chwili samiec prowodyr wydaje pojedyńczy dźwięk „gluk", stanowiący hasło do przelotu nad rzeką. Dla starych ptaków przeprawa taka nie sprawia trudności, jeśli nawet rzeka ma kilometrową szerokość; młode natomiast wpadają do wody i muszą wówczas, nieudolnie płynąc, dobierać się do brzegu rzeki, stając się zdobyczą myśliwych. Okres godowy u indyków dzikich rozpoczyna się w połowie lutego. Gdy samiec wydaje swój nawołujący zew, natychmiast wszystkie samice odpowiadają mu, szybko po sobie następującemi, gulgocącemi dźwiękami. Bez względu na to, czy samica jest widoczna czy nie, samiec rozpościera swój ogon, odrzucając głowę w tył na plecy, pociąga skrzydłami po ziemi, przyczem nagie części jego głowy i szyi, nabrzmiewając, przyjmują barwę czerwoną. W czasie tych toków zdarza się niejednokrotnie, że dwa samce rozpoczynają ze sobą bój na śmierć i życie. Samica trzyma się wybranego samca dopóty, dopóki nie rozpocznie się nieść. Wówczas oddala się, unika samca, pokazując się mu tylko na krótki czas. Samce stają się wówczas ospałe i leniwe, mają niejako dość godów, nie biją się między sobą i nie tokują. Stają się obojętne względem samic, które



Przepiór czteropiórny *(Lophortyx californicus)*.

muszą używać wszelkich możliwych sposobów, by rozruszać swych małżonków. Gniazdo stanowi niewielkie zagłębienie, niestarannie wysłane piórami; pełne zniesienie składa się z 10 do 15 jaj, barwy żółtawej

z czerwonemi punkcikami. Gdy samica opuszcza gniazdo, przykrywa je bardzo starannie, dlatego też jest ono trudne do znalezienia. Jeśli, siedząc na jajach, samica zauważy wroga, rozpłaszcza się i przyciska do gniazda, nie ruszając się, dopóki nie zauważy, że została spostrzeżona.

Jakkolwiek indyk lubi specjalnie orzechy i pewne gatunki jagód, jada on jednak również trawę i inne rośliny zielone, zboże, różnorodne jagody, owady, a nawet niewielkie jaszczurki i żaby.

Tak jak rodziny *Odontophoridae i Meleagridae* są charakterystyczne dla Ameryki, tak dla Afryki charakterystyczną jest rodzina *Numididae*. Podobnie jak indyków, nie będę tu podawał ich charakterystyki, gdyż dostateczne wyobrażenie o tych ptakach daje nasza perliczka domowa. Pochodzi ona od gatunku *Numida meleagris*, zamieszkującego Afrykę zachodnią. Zaznaczę tu tylko, że rodzina perliczek jest dobrze zróżnicowana, to znaczy, że wszystkie jej gatunki są do siebie naogół podobne. Niema między niemi tak wielkich różnic, jak u *Tetraonidae* lub *Phasianidae*. Rodzina *Numididae* jest zresztą nieliczną: obejmuje ona zaledwie 5 rodzajów z 7 gatunkami i trzydziestu kilku podgatunkami. Niektóre gatunki żyją w stepach, inne są ptakami leśnemi lub zamieszkującemi zarośla krzewiaste.

WITOLD CZAPLIŃSKI

O ŻYCIOWY POGLĄD W SPRAWACH JĘZYKA ŁOWIECKIEGO

Podanie przeze mnie w terminologji łowieckiej, dotyczącej łosia, również terminu „pasemko" wywołało polemikę ciągnącą się przez kilka zeszytów. Spotkałem się bowiem ze sprzeciwem prof. Ziembickiego, a nawet z niezrozumiałym dla mnie całkowicie zamiarem uśmiercenia tego co żyje, a wskrzeszenia tego, co przed wiekiem umarło, t. j. pasynka.

Dane mi przez dra Rosponda wyjaśnienie, że możliwe jest tylko „pasemko nici", zdaje się nie być argumentem przekonywającym, iż właśnie dlatego odnoga rogu łosia nie może nazywać się „pasemkiem". Życie wykazuje aż nadto dobitnie, że słowa z czasem zmieniają częściowo albo całkowicie swoje znaczenie:

Zbolały Jan Kochanowski, opłakując najdroższe swe dziecko pisał:

„...Że mi moją najmilszą dziewkę jeszcze wróci.
A ten nieuśmierzony we mnie żal ukróci".

Dziś „dziewka" ma wprost przeciwne znaczenie.

Z pasemkiem i pasmem łączy się pojęcie pokaźnej d ł u g o ś c i, a dziś dorożkarz warszawski powiada, że „grzywę swego konia układa w pasemka" t. j. krótkie warkocze; myśliwy zaś stworzył i utrzymał w pełnem życiu jedno z najpiękniejszych i obrazowych wyrazów „pasemko" na oznaczenie odgałęzień łopat łosich, które wszak również niejednokrotnie w rosochach pięknych, o pokaźnych łopatach, bywają bardzo d ł u g i e, mierzące 30 — 40 cm. i więcej.

Próbę usunięcia z żywego organizmu wyrażenia „pasemko" i zwalczanie go dlatego, że nie odpowiada swemu znaczeniu, należy zaliczyć do teorji. Gdybyśmy wyrazy mowy polskiej poddali trójprzymiotnikowej analizie, t. j. historycznej, etymologicznej i semazjologicznej, jak to dr Rospond uczynił z pasynkiem, musielibyśmy dziś, jeśli nie każde, to co drugie słowo zakwestjonować.

Czyż stojąc na powyższem stanowisku, które usiłuje usunąć z życia myśliwego słowo „pasemko", powinien istnieć, drogi nam w swem znaczeniu, wyraz „Rzeczpospolita"? Dlaczego „rzecz", jaka „rzecz" pytam się; dlaczego „pospolita"? Wiemy dokładnie co dziś wyraz „pospolita" oznacza, a „rzecz" to przekręcenie łacińskiego „res". A przecież nikt nie dąży do usunięcia tego wyrazu. A dlaczego „ręcznik", gdy ja nim nogi wycieram? A dlaczego „stolarz", gdy on robi tylko kredensy i szafy, a nie stoły. A dlaczego „pasemko" łosia? Przecież niema tu nic wspólnego z pojęciem „długości nieprzerwanie się ciągnącej". A jednak, wszystkie te wyrażenia istnieją i są w pełnem użyciu.

Dla dzisiejszego języka myśliwskiego nie to jest obowiązujące, co się da uzasadnić argumentami etymologji, historji, semazjologji, logiki, ale przedewszystkiem to, czy dany wyraz jest dzisiaj w użyciu.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI



Kpt. J. Wł. Kobylański, autor art. „Trzy wykopaliska" który ukaże się w Nr. 13 z dnia 1 lipca r. b.) z łopatą łosia wykopaną w Chylonji pod Gdynią. Fot. B. Lemański

ZNÓW POTWORNA ZBRODNIA KŁUSOWNIKÓW

Jednym z najlepiej w powiecie rzeszowskim zagospodarowanych majątków, tak pod względem łowieckim jak zresztą i pod każdym innym, jest Rudna — Stefana hr. Dąmbskiego. W Rudnej prawdziwą atrakcję stanowi piękny, wzorowo prowadzony las sosnowy, o zwartej powierzchni ponad 500 ha, położony w gromadzie — Rudna Mała. Posiada on także liczny i urozmaicony zwierzostan, zwłaszcza sarni. Właściciel, w przekonaniu, zupełnie słusznem, że nic tak dodatnio nie wpływa na utrzymanie zwierzyny i na jej rozmnożenie, jak dobrze zorganizowana straż łowiecka, podobierał sobie kilku odważnych, gorliwych i młodych strażników i powierzył im pieczę nad rewirem.

W lesie tym rozegrała się tragedja!...

W nocy ciemnej i cichej z dnia 11-go na 12 maja r.b. o godzinie 22-ej usłyszał strażnik łowiecki, Tomasz Przybyła, pełniący wtedy służbę wartowniczą przy kopcach ziemniaków w polu, dwa szybkie strzały od strony niedalekiego lasu, oddane, jak się później okazało, do rogacza...

Więc stanął zaraz na baczność, ścisnął mocniej w garści strzelbę i ruszył pędem szosą głogowską do mieszkania swego starszego brata, Józefa Przybyły, doświadczonego gajowego, pełniącego służbę zawodową w majątku już od lat siedmiu.

Po krótkiej naradzie ruszyli obaj na niebezpieczną wyprawę i szli najbliższą polną drożyną w kierunku lasu, ale tak, by, zdążając dobrze ukryci jego brzegiem, dojść mogli cicho do domniemanego miejsca strzałów...

Już docierali do skraju zarośli, gdy nagle zobaczyli wśród rzedniejących drzew jasną strugę światła, pochodzącego od latarki, z łanu obsianego koniczem, w odległości jakichś 200 kroków... Skierowali się ku chybocącemu, błędnemu ognikowi i wyszli z lasu, krocząc ostrożnie obok siebie... Naraz padło na nich z innej strony, z innej latarki i zbliska, jaskrawe światło!... Idący z prawej strony Józef Przybyła skręcił na widok światła instynktownie w lewo i w tej chwili otrzymał postrzał w plecy i w nogi... Ciężko ranny i przerażony, prawie nieprzytomny, cofnął się do lasu i począł z wysiłkiem uchodzić, ażeby najbliższą drogą dostać się do swej chaty i zaalarmować domowników. O bracie sądził, że się także z walki wycofał.

Wróciwszy do siebie, wysłał zaraz żonę do innego strażnika, polecając jej, ażeby poszła z nim na miejsce starcia, które określił.

Gdy wysłańcy dotarli do wskazanego miejsca, znaleźli Tomasza Przybyłę już nieprzytomnego, niemal w agonji. Z głowy jego tryskała fontanna krwi — dyszał ciężko!...

Przekonano się później, że ołowiane siekańce, któremi zbrodniarze nabili swą strzelbę, przecięły tętnicę na czaszce i wtargnęły do mózgu. Taki właśnie rodzaj pocisków stwierdziła dokonana sekcja zwłok.

Rannego przeniesiono natychmiast na folwark, próbowano opatrzyć, sprowadzono lekarza i księdza. Lekarz nie mógł jednak już nic poradzić, a kapłan wyspowiadać, bo denat był nieprzytomny i umierał... Nic też zeznać nie zdołał.

Po sześciu godzinach strasznych męczarni skonał Tomasz Przybyła w kwiecie wieku, w dwudziestym dziewiątym roku życia, osierocając żonę i małego synka.

Zginął w obronie prawa, na stanowisku, na którem trwał wiernie i uczciwie, i padł, jak żołnierz, na posterunku, z rąk kłusownika - bandyty, który ważył się sprzątnąć go ze swej zbrodniczej drogi w sposób bezwzględny, skrytobójczy!...

Pogrzeb biednego Tomasza odbył się w niedzielę 14 maja na koszt dworu, przy tłumnym udziale ludności wiejskiej, wobec przedstawicieli władz, Łowczego powiatowego i Podłowczych.

Drugi gajowy, Józef Przybyła, żyje, leży w Rzeszowie w szpitalu i chociaż ciężko ranny w płuca, może szczęśliwie wyzdrowieje...

*

Na podstawie pierwiastkowych dochodzeń, aresztowano tej samej nocy dwu znanych kłusowników, mieszkańców Rudnej Małej.

Na jednego z nich, na niejakiego Szymona Rusina, wskazała odrazu opinja publiczna, jako na sprawcę.

Przez wszystkich bowiem uważany jest on nietylko za zaciekłego kłusownika, ale i za komunistę-wywrotowca, który nie ma nic do stracenia i który nie uznaje żadnej świętości.

Przy rewizji osobistej stwierdzono na nim świeży, nieszkodliwy, postrzał w podbrzusze... Wydaje się, że strzelił do niego z leżącej pozycji już śmiertelnie ranny — Tomasz Przybyła...

Drugi kłusownik, uchodzący za wspólnika Rusina, niejaki Józef Brydak, zeznał sam odrazu, że on tylko oświetlił ślepą latarką obu strażników, Rusin zaś do nich strzelił.

Obaj bandyci pozbawieni wszelkich ludzkich uczuć, gorsi od najdzikszych zwierząt, wyjątkowo aspołeczni, siedzą pod kluczem i czekają co na ich zbrodnię powie surowe ale sprawiedliwe prawo. Należy wierzyć, że spotka ich zasłużona kara, również bezlitosna, jak oni sami!...

Smutny to obraz naszych stosunków. Przypomina raczej Meksyk, niż kraj o wysokiej kulturze.

Dziwić się jeno należy, że u tak notorycznego kłusownika, za jakiego uchodził powszechnie Szymon Rusin, nie przeprowadzono przedtem poszukiwań za bronią, a znaleziono ją u niego dopiero po wypadku w postaci uciętego karabina wojskowego i dubeltówki...

Gdyby broń zawczasu usunięto, nie nastąpiłaby, być może tragedja — jakże straszliwa i ponura w swym wyrazie!

Niektóre tutejsze osiedla ukrywają jeszcze wiele różnorodnej broni, którą trzebaby corychlej poodbierać, by wieś już nareszcie rozbroić i zabezpieczyć zarówno ludzi, jak i zwierzynę przed groźnemi niespodziankami.

A tyle się o tem pisało i wszakże były przykłady, że rewizje w niektórych wsiach, przeprowadzone w pewnych powiatach, dały wprost rewelacyjne wyniki.

WŁADYSŁAW GÜRTLER



Mistrz Pionek na r. 1939, p. Jerzy Feill strzela.

PO ZAWODACH PIONEK

Tegoroczne V Ogólnopolskie Zawody w strzelaniu do rzutków, urządzone przez Państwową Wytwórnię Prochu, Pionki, odbywały się w dniach 27 — 29 maja. Otwarcia zawodów dokonał Dyrektor Jan Maciej Bold, główny inicjator tych zawodów i ich ciągłości, zaznaczając w swem przemówieniu, że wraz z piątemi z kolei dorocznemi zawodami odwraca się już pierwsza historyczna karta propagandy strzelectwa standowego do rzutków, podjętej przez Wytwórnię, na której zapisane są dość wymowne a nawet chlubne cyfry, o czem szerzej pomówi po zakończeniu zawodów. Następnie, podziękowawszy zawodnikom za liczne przybycie na zawody ze wszystkich dzielnic kraju, Dyr. Bold zwrócił się z prośbą do pp. płk. Stefana Sznuka, Wilhelma Ziegenhirtego i Tadeusza Obutelewicza Mistrza i Wicemistrza Pionek z r. 1938, o oddanie honorowych strzałów, poczem rozpoczęto zawody.

Program zawodów obejmował strzelanie do 100 rzutków w serjach po 25, przyczem z uwagi na bardzo liczne zapisy zawody odbywały się przez trzy dni. Do startu stanęło ogółem 117 zawodników (z pośród zapisanych 152-ch), z których, zgodnie z zapowiedzianemi warunkami zawodów, wyeliminowanych zostało w połowie strzelania w klasie B 55-ciu zawodników. Zawody ukończyło: w klasie „Mistrzowskiej" 15-tu zawodników; w klasie „A" — 19-tu i w klasie „B" — 28-miu. Zespołów startowało 19 na 20 zapisanych, z czego 12 zespołów zostało wyeliminowanych.

Ogółem oddano około 17.500 strzałów z amunicji dostarczonej bezpłatnie przez P. W. P. Pionki, a elaborowanej z prochu Sokół, ze spłonką Lignozy, z elementów całkowicie wytworzonych w kraju, w Warszawskiej Fabryce Amunicji (własność Warszawskiej Spółki Myśliwskiej). Amunicja ta zdała raz jeszcze swój egzamin w zupełności.

Wyniki zawodów były następujące:

	KLASA MISTRZOWSKA	
1)	Feill Jerzy	91/100
2)	Czerski Stanisław sen.	91/100
3)	Feill Roman	91/100
4)	Łyskowski Konstanty	90/100
5)	Kołaczkowski Wojciech	90/100
6)	Ziegenhirte Wilhelm	88/100
7)	Sztukowski Stefan	87/100
8)	Rosenwerth Stanisław	86/100
9)	Obutelewicz Tadeusz	85/100
	KLASA „A"	
1)	Chrzanowski Władysław	83/100
2)	Tobola Kazimierz	82/100
3)	Rosenwerth Henryk	78/100
4)	Makomaski Antoni	78/100
5)	Pakowski Teodor	78/100
6)	Bojanowski Andrzej	76/100
7)	Kurowski Rajnold	75/100
8)	Wagner Mikołaj	74/100
9)	Horoch Jan	74/100
	KLASA „B"	
1)	Szydłowski Sławosz	84/100
2)	Błasikiewicz Czesław	77/100
3)	Wagner Eugenjusz	73/100
4)	Messing Janusz	72/100
5)	Klępiński Zbigniew	72/100
6)	Sznuk Stefan	71/100
7)	Stopiński Jerzy	71/100
8)	Szeluczko Aleksander	70/100
9)	Mieczkowski Edward	68/100
10)	Czajkowski Jan	67/100
11)	Makomaski Władysław	67/100
12)	Gołębiowski Tomasz	65/100

ZESPOŁY

		pkt.
1)	Łowiec Wielkopolski	253
2)	„Sokół" — Pionki	236
3)	Małopolskie Towarzystwo Łow. Lwów	229
4)	„Orlęta" — Dęblin	226
5)	„Orzeł" — Pionki	222

Po ukończonych zawodach, z samorzutnej inicjatywy zawodników, rozegrano jeszcze pulę do 30 rzutków w dwóch serjach po 15, z wpisowem po zł. 10.—, przy udziale 35-ciu strzelających. Wpływ z wpisowego nie był dzielony, jak zwykle w takich razach, pomiędzy zwycięskich zawodników, lecz w całości, w sumie zł. 350.— przeznaczony na Fundusz Obrony Narodowej.

Inicjatywie tej, wyrażającej patrjotyczną myśl przedstawicieli sportu strzeleckiego, należy gorąco przyklasnąć.

Byłoby niezmiernie pożądanem, ażeby przy każdej nadarzającej się sposobności tego rodzaju, a więc i na wszystkich zawodach wojewódzkich, których odbywa się w kraju już dziś niemało, myśl ta znalazła naśladowców.

Pulę F.O.N. wygrał p. Wilhelm Ziegenhirte rozbijając 28/30 rzutków.

Zwycięzcę nagrodzili od siebie bracia Szaniawscy z Przegalin (pow. radzyński), ofiarowując butelkę 75-letniego miodu sycenia swego dziada.

Przeglądając tegoroczne wyniki zawodów Pionek, rzuca się w oczy przedewszystkiem bardzo zwarty poziom strzelania naszych mistrzów. Różnica pomiędzy wynikiem, osiągniętym przez pierwszych trzech (91%) a ostatnim z dziewięciu nagrodzonych (85%), wynosząca tylko sześć rzutków, świadczy o tem, jak wybitne uzdolnienia strzeleckie posiadają wszyscy z nich i jak ciężką była ta konkurencja — do rzutków bardzo ostrych, wymagających wielkiej wprawy, umiejętności i opanowania nerwów — i jak wiele mógł tu zaważyć przysłowiowy łut szczęścia.

Nieco większe różnice wypadły w klasie A, jednak i tu (1 — 5 — 5 — 5 — 7 — 8 — 9 — 9 punktów) widzimy dużą zwartość stawki pomiędzy większością zawodników nagrodzonych, zwłaszcza od trzeciego kolejnego miejsca do dziewiątego.

Lecz najbardziej charakterystycznym momentem jest pojawianie się na zawodach Pionek coraz nowych nazwisk, nawet z pośród zupełnie młodych i niewiele lat trenujących się zawodników, na liście zawodników nagrodzonych. Pod tym względem posiadamy. w każdej z klas duży szereg wybitnych talentów, z roku na rok podnoszących swe wyniki.

Wśród widzów, zwolenników tego pięknego sportu, zastanawiano się powszechnie nad tem, dlaczego jednak tegoroczne zawody Pionek, w porównaniu z rokiem 1938, dały wyniki sporo niższe, jeśli chodzi o górną granicę trafnych. Odpowiedź na to dość trudna — nie można zresztą czynić żadnych sugestyj na przyszłość, ani też pomawiać znacznej części zawodników o lekceważenie konkurencji. Jednym mogło zaszkodzić „przetrenowanie", innym „niedotrenowanie", a więc nie wejście we „własną skórę", we właściwą formę, innym wreszcie nie dopisał „łut szczęścia". Rzutki pozatem istotnie były bardzo „cięte", wymagały nieustannego napięcia uwagi na najwyższy poziom i ogromnej szybkości strzału; czasem też trafił się zupełnie czarny rzutek, (a to już wina fabryki), co również miało wpływ na moment właściwego „schwytania" go na muszkę... A zresztą: „na wszelkich zawodach zdarzają się nigdy zgóry nieobliczone z a w o d y", jak wyraził się jeden z naszych mistrzów. I ma wielką rację.

W sumie złożyło się to wszystko na takie, że się tak wyrażę „dziwolągi", że np. zeszłoroczny Mistrz Pionek p. Ziegenhirte rozbił mniej o 9 sztuk rzutków, niż w roku ubiegłym, inni z tej samej klasy spadli o 3, 4, 5, a nawet 10, gdy znów pozostali zatrzymali identyczny poziom wyników, lub posunęli się (normalnie) o 2 — 3 rzutki w górę, jak to widzimy u obu braci Feillów. Stąd powstało zupełne „przetasowanie" kolejności miejsc w klasie mistrzowskiej, co zresztą wcale nie jest objawem szkodliwym, przeciwnie, nader pożądanym, choćby ze względu na nieistnienie zupełnej przewagi paru zawodników nad pozostałymi, a więc ze względu na ogólne wyrównanie klasy strzelających.

Tyle o wynikach. Należy jeszcze podnieść doskonałą organizację zawodów, co wybitnie cechuje doroczne zawody Pionek. Komisja organizacyjna i Komisja sędziowska przyjęte na siebie obowiązki wypełniły z całą dbałością i oddaniem, wywołując ogólną wdzięczność zawodników oraz gości standowych. Dyrektor Bold, który jest, jak to mówiliśmy nieraz, duszą tych dorocznych zawodów, nie szczędzi swych trudów i pomysłowości, aby szerzenie zamiłowania do sportu standowego znajdowało coraz szerszy oddźwięk wśród myśliwych polskich, pozatem stoi na straży, by zawody Pionek oprawić w należyte ramy i rzetelnie sportowy nastrój na standzie.

Prawa ręka Dyr. J. M. Bolda w organizowaniu zawodów Pionek, P. Prokurent Teodor Piekarski, „w pocie czoła" pracuje nad tem przez szereg dni przed zawodami — i pracuje owocnie i szczęśliwie, wraz z całym sztabem współpracowników. Słowa rzetelnego uznania dla ich ofiarnej pracy i podziękowania należą się od wszystkich — co było głośno na standzie podkreślane.

Jeśli chodzi o tworzenie ekip na międzynarodowe zawody, to oficjalną eliminacją na nie są corocznie odbywane Narodowe Zawody (tego roku XIV-te), w których najlepsi nasi strzelcy standowi poddawani są znacznie cięższej próbie — trzydniowego strzelania łącznie do 300 rzutków. To jest rzecz prosta znacznie surowszą lecz i sprawiedliwszą próbą sił i talentów, niż strzelanie jednodniowe do 100 rzutków. Nie można dziś nic przesądzać, jak te siły się zaznaczą i jakie uzyskają kwalifikacje zawodnicy, nie same bowiem talenty idą tu w zawody, w każdym razie stwierdzić należy, że i tu także możliwe będzie nowe przetasowanie w stosunku do lat ubiegłych, choć może nie tak jaskrawe, jak na ostatnich zawodach Pionek.

Uwagę tę czynię w stronę zainteresowanych zawodników, nie bez wpływu bowiem będzie nastrój osobisty, samopoczucie zawodnika i jego istotna forma po racjonalnym treningu.

Powracając do zawodów Pionek, na zakończenie wspomnieć muszę o miłym nastroju, jaki panował przez cały czas na standzie i jaki przejawił się podczas rozdania nagród i na wspólnej wieczerzy, która zakończyła zawody towarzysko. Dyrektor Bold uroczystość rozdania cennych nagród rozpoczął przemówieniem, w którem stwierdził celowość szerzenia

zamiłowania do sportu standowego, co czyni Państwowa Wytwórnia Prochu Pionki, nie szczędząc zabiegów i kosztów, od lat pięciu. Świadczą o tem cyfry. Propaganda, prowadzona w tym kierunku przy pomocy rozdawanych rzutni i rzutków na treningi prowincjonalnie w całym kraju, przyczyniła się do tego znakomicie. Sześćdziesiąt pięć rzutni i cała masa rzutków zapoczątkowała powstanie tyluż strzelnic, gdzie kształcą się nowe talenty, a jak to widzieliśmy, cel jest osiągany w coraz szerszych szeregach.



Dyrektor P. W. P. Pionki P. Jan Maciej Bold przemawia przed otwarciem zawodów.

Idea obrony narodowej w strzelectwie myśliwskiem zyskuje wskutek tego coraz bardziej ważki wyraz, coraz więcej myśliwych uważa to za swój bliski sercu obowiązek: podciągnąć się w strzelaniu wzwyż. Zbyt skromnie tylko orzekł Dyrektor Bold, że te 65 rzutni i wiele tysięcy rzutków zachęty, ufundowanych przez Pionki, rozbudziło canajmniej 650 myśliwych, dziś na serjo interesujących się tem strzelaniem. Ja myślę, że cyfra ta jest dziś już podwójna, jeśli nie potrójna.

Na zakończenie mówca podziękował raz jeszcze zawodnikom za tak liczne stawienie się z całej Polski oraz wszystkim obecnym na zawodach miłośnikom tego sportu.

Odpowiedział Dyr. Boldowi P. bar. Stanisław Rosenwerth, imieniem zawodników wyrażając wdzięczność za pięknie zorganizowane zawody i podnosząc obywatelską, społeczną i patrjotyczną działalność Państwowej Wytwórni Prochu.

Następnie zabrał głos P. Dyr. Bohdan Gędziorowski, który, rozszerzając przemówienia przedmówców w innym jeszcze kierunku, podkreślił jaskrawiej dowód wartości i celowości tego sportu, powołując się na oficjalne, regulaminowe stosowanie w lotnictwie treningów w strzelaniu do rzutków, jako znakomicie wyrabiającem orjentację i wprawę oka w walkach powietrznych. A przecież wśród szeregu najmłodszych, jacy dzięki pomocy Pionek wzięli się do tego strzelania na serjo, niejeden stanie się elementem naszej armji powietrznej.

Przykre zdziwienie wyraził mówca jednocześnie, że w czasach niespokojnych, jakie dziś przeżywamy, obok Państwowej Wytwórni w Pionkach, jako protektorki strzelania rzutkowego, nie stanęły inne podobne w kraju wytwórnie, których obowiązkiem narodowym jest wykorzystanie swoich w tym kierunku możliwości i poświęcenie pewnych trudów a nawet kosztów, by cel główny w tej płaszczyźnie łatwiej i prędzej i jeszcze szerzej był osiągnięty.

Po tych przemówieniach Dyr. Bold zaprosił do stołu P. Feillową, szczęśliwą matkę dwóch tak wybitnie utalentowanych w strzelaniu synów, z którą dokonał wręczenia nagród zwycięskim zawodnikom.

Podczas wieczerzy wzniesiono wiele toastów okolicznościowych i w miłym nastroju spędzono parę godzin na rozmowach, dyskutując na tematy, złączone z uroczystością tego wieczoru.

Jak zwykle w takich razach, powstawały różne myśli, związane ze szczegółami zawodów — między innemi poruszony został temat nagród na Narodowe Zawody, do których przydałoby się wprowadzić pewne odmiany. Oto podniesiono, iż, dla podkreślenia myśliwskości tych zawodów, niezmiernie pożądanem byłoby uzyskiwanie od Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych, zarówno jak i od ofiarnych właścicieli większych łowisk, jako nagród — odstrzałów zwierząt łownych: jeleni, kozłów, głuszców...

Myśl istotnie warta rozwagi i... ofiarności tych, którzy mogliby jakąś cegiełkę do rozwoju strzelectwa myśliwskiego dołożyć!

Czekamy na pierwsze „odstrzały", jako na nagrody na Narodowych Zawodach (7 — 9 lipca r. b.).

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na II półrocze, III kwartał, lub na miesiąc lipiec.

Przypominamy, że cena prenumeraty została na r. 1939 obniżona.

Administracja.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

WALNE ZGROMADZENIE POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

Komitet Wykonawczy Polskiego Związku Łowieckiego przypomina niniejszem, że Zwyczajne Walne Zgromadzenie Związku odbędzie się w niedzielę, dnia 18 b. m., w siedzibie Związku. Obrady rozpoczną się o godzinie 10-tej rano.

Porządek dzienny Walnego Zgromadzenia i odnośne postanowienia statutu — ogłoszono w „Łowcu Polskim" Nr. 11 w dniu 1 b. m.

Na dzień 17 b. m. (sobota) godz. 17-ą — wyznaczone zostało posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckiej.

Tegoż dnia 17 b. m. o godzinie 10-ej rano odbędą się zebrania Sekcyj; Ochrony i Hodowli Łosia, Ochrony Niedźwiedzia oraz Ochrony Bobra; o godzinie 13-ej — posiedzenie Komitetu Wystaw i Pokazów Łowieckich, o godzinie 14-ej — posiedzenie Kapituły Odznaczeń Łowieckich.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA NACZELNEJ RADY ŁOWIECKIEJ Z DNIA 14 MAJA R. 1939.

Obradom przewodniczył P. Prezes Generał Broni Kazimierz Sosnkowski,
obecni byli P.P.—

Wiceprezesi: Generał Dyw. Kazimierz Fabrycy, Tomasz Komierowski, Maurycy Hr. Potocki, Inż. Leopold Skulski

Prezesi Oddziałów: Kieleckiego — Zygmunt Mrgr. Wielopolski, Lubelskiego — Jan Koźmian, Łódzkiego — Józef Krauze, Małopolskiego — w zastępstwie Wiceprezes Dr. Stanisław Hr. Tyszkiewicz, Poleskiego — w zastępstwie Wiceprezes Józef Hołyński, Pomorskiego — Tomasz Komierowski, Śląskiego — Inż. Antoni Rowiński, Warszawskiego—Bohdan Gędziorowski, Wielkopolskiego — Konstanty Chłapowski, Wołyńskiego — Roman Hr. Potocki,

Członkowie Rady: Red. Walenty Garczyński, Prof. Józef Gieysztor, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Dr. Adam Lardemer, Dr. Jan Łukowicz, Janusz Regulski, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Inż. Tadeusz Sroczyński, Andrzej Śliwiński, Kazimierz Świderski, w charakterze gościa — Wiceprezes Oddziału Wołyńskiego, Stanisław Madeyski; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Nieobecność usprawiedliwili Członkowie Rady P.P. Michał Pawlikowski i inż. Józef Pierożyński, oraz Prezes Oddziału Wileńskiego Benedykt Hr. Tyszkiewicz.

Porządek obrad był następujący:

1. Przyjęcie protokółu posiedzenia Naczelnej Rady Łowieckiej z dnia 13 marca r. ub.
2. Sprawozdanie finansowe za rok 1938.
3. Budżet na rok 1939.
4. Sprawozdanie Komisji Propagandowej za rok 1938 i plan dalszej akcji propagandowej.
5. Ustalenie terminu Walnego Zgromadzenia Związku.
6. Określenie liczby delegatów poszczególnych Oddziałów na Walne Zgromadzenie Związku.
7. Wylosowanie Członków Naczelnej Rady Łowieckiej, ustępujących w roku bieżącym w myśl § 27 statutu, oraz ustalenie kandydatur.
8. Sprawa odznaczeń łowieckich.
9. Sprawy bieżące.
10. Wnioski.

Przed przystąpieniem do porządku dziennego, P. Prezes Generał Sosnkowski poświęcił serdeczne wspomienie zmarłym w ostatnim roku ś. p. Inż. Bolesławowi Świętorzeckiemu, jednemu z założycieli Związku i długoletniemu jego Wiceprezesowi, niestrudzonemu organizatorowi i Prezesowi Oddziału Wileńskiego odznaczonemu „Złomem", wybitnemu myśliwemu i pisarzowi łowieckiemu, oraz ś. p. Dr. Stanisławowi Zaborowskiemu, również odznaczonemu „Złomem", wybitnemu myśliwemu, podróżnikowi, znakomitemu pisarzowi łowieckiemu, ofiarodawcy pięknego zbioru trofeów na rzecz Związku.

Przemówienia Pana Prezesa zebrani wysłuchali, powstawszy z miejsc, oddając hołd pamięci zmarłych działaczy.

Protokół posiedzenia Naczelnej Rady Łowieckiej z dnia 13 marca r. ub. zamieszczony był w „Łowcu Polskim" z dnia 1 maja r. ub. Ponieważ nie zostały zgłoszone żadne poprawki lub zmiany, protokół ten zatwierdzono bez odczytywania.

Sprawozdanie finansowe za rok 1938 przedstawił Skarbnik Związku, P. Kamieński, referując kolejno bilans, rachunek strat i zysków oraz porównanie preliminarza budżetowego z bilansem.

Bilans na dzień 3 grudnia r. 1938 zamyka się sumą zł. 47.000,30 i wykazuje zysk w kwocie zł. 7.247,33.

Rachunek strat i zysków wykazuje sumę obrotu złotych 114.754,11.

Z porównania preliminarza z wykonaniem budżetu za rok 1938 wynika, że suma wpływów wyniosła zł. 59.298,82 i przekroczyła przewidywane wpływy o zł. 14.998,82, suma zaś wydatków w kwocie zł. 51.833,45 przekroczyła preliminarz o zł. 7.533,45.

W dyskusji nad sprawozdaniem finansowem wypowiedzieli się P.P.: Prezes Generał Sosnkowski, R. Hr. Potocki, Red. Garczyński, M. Hr. Potocki i Prof. Gieysztor; wyjaśnień w sprawie poszczególnych pozycyj udzielał P. Kamieński.

Po zastanowieniu się nad kwestją dalszego utrzymania wykazanych w bilansie oddzielnych funduszów specjalnych. Naczelna Rada Łowierka uznała, iż tworzenie niezdolnych do życia funduszów nie ma celu.

Utrzymać postanowiono jedynie „Fundusz budowy Domu Łowieckiego", zlecając Komitetowi Wykonawczemu przygotowanie na Walne Zgromadzenie planu aktywizacji tego funduszu.

„Fundusz zapomogowy dla wdów i sierot po strażnikach łowieckich" postanowiono skreślić, sumę zaś tego funduszu zł. 574,21 pomieścić we wpływach z ofiar, a w budżecie na rok 1939 przewidzieć jej wydatkowanie.

„Fundusz Im. ś. p. Juljana Ejsmonda" postanowiono skreślić i przekazać figurującą na funduszu tym sumę zł. 214 szkole ludowej Im. ś. p. Juljana Ejsmonda w Kołpakach pow. grodzieńskiego.

„Fundusz ochrony i hodowli łosia" oraz „Fundusz ochrony niedźwiedzia"—uchwalono skreślić, wstawiając do budżetu na rok 1939 odpowiednie kwoty na wydatki Sekcyj i Komisyj Związkowych.

Pozostającą na „Fuduszu wydawniczym" sumę zł. 158,10 postanowiono odnieść na kapitał rezerwowy, w budżecie zaś na rok 1939 — przewidzieć pozycję „dotacja na cele wydawnicze".

Z temi poprawkami sprawozdanie finansowe za rok 1939 przyjęto i postanowiono przedłożyć Komisji Rewizyjnej i Walnemu Zgromadzeniu Związku.

Rozpatrzono następnie projekt preliminarza budżetowego na rok 1939, zestawiony przez Komitet Wykonawczy na podstawie preliminarzy budżetowych Oddziałów.

Projekt ten po stronie wpływów Związku przewiduje:

50% składek członkowskich od Oddziałów	zł. 53.055.—
odsetki od wkładów	500.—
nadwyżkę wpływów z r. 1938	7.247.33
zysk z „Kalendarza Myśl." na r. 1939	750.—
wpływ ze sprzedaży odznak członkowskich	2.000.—
łącznie	zł. 63.552.33

Wydatki Związku obejmują:

Wydatki na biuro (pensje, wynagrodzenia, świadczenia socjalne, porto, materjały piśmienne, komorne i różne)—złotych 18.850.—

Wydatki: ogólne (nagrody, odznaczenia, propaganda, organizacja, dotacje dla Oddziałów, przejęcie strzelnicy w Szczęśliwicach) — zł. 40.160.—,

łącznie — zł. 59.010.—

Pozostałość w kwocie zł. 542,33 (nadwyżkę wpływów nad wydatkami) należałoby przelać na kapitał rezerwowy.

Naczelna Rada Łowiecka rozpatrywała kolejno poszczególne pozycje budżetu.

Potrzebę wprowadzenia do preliminarza sumy, przeznaczonej na pokrycie świadczeń, jakie wdawnictwo „Łowiec Polski" ponosi na rzecz Łowczych i Podłowczych Powiatowych przez obniżenie dla nich prenumeraty o 50%, uzasadniał P. Red. Garczyński. Budżet powinien nadto odzwierciadlać działalność Związku i jego świadczenia na rzecz członków.

W dyskusji nad temi sprawami zabierali głos P.P.: Prezes Generał Sosnkowski, Inż. Skulski, Gen. Fabrycy, Prof. Gieysztor Inż. Sosonko, Dr. Lardermer, Dyr. Gędziorowski i Red. Garczyński.

Zgodnie z wnioskiem Komitetu Wykonawczego, Rada Naczelna uchwaliła wprowadzić do budżetu na rok 1939 kwotę zł. 4.360.— tytułem pokrycia świadczeń „Łowca Polskiego" na rzecz Łowczych i Podłowczych. Niezależnie od tego postanowiono uwidoczniać w budżecie sumy, stanowiące świadczenia bezpośrednie Związku na rzecz członków, wyrażające się narazie w obniżce prenumeraty „Łowca Polskiego".

Na wniosek Komitetu, uchwalono przeznaczyć na rok 1939 na dotacje dla Oddziałów kwotę zł. 20.000 (o zł. 5.000 wyższą, niż w roku ubiegłym).

Postanowiono jednocześnie wystąpić na Walnem Zgromadzeniu Związku z wnioskiem o zobowiązanie Wojewódzkich (Oddziałowych) Rad Łowieckich do wydawania stałych miesięcznych komunikatów dla wszystkich członków. Komunikaty, zawierające informacje i wskazówki organizacyjne, staną się niewątpliwie skutecznym środkiem utrzymania stałego kontaktu z członkami i ściślejszego związania ich z organizacją.

W myśl propozycji Komitetu Wykonawczego, Rada Naczelna zatwierdziła podwyższenie sumy, przeznaczonej na pensje o zł. 957,65.

W łączności z wnioskiem Komitetu Wykonawczego o przejęcie przez Związek strzelnicy myśliwskiej w Szczęśliwicach, co wiązałoby się z koniecznością pokrycia pozostałej należności za budowę tej strzelnicy w kwocie zł. 4.600.— i kosztów utrzymania, P. Prezes Generał Sosnkowski poddał pod rozwagę Naczelnej Rady Łowieckiej kwestję, która nasuwała się już przy poprzedniem omawianiu tej sprawy, mianowicie, czy Związek może prowadzić przedsiębiorstwo, jakiem bez wątpienia jest strzelnica. Ten pogląd, jak również i fakt, że budowa strzelnicy podjęta była bez uprzedniej formalnej uchwały naczelnych władz Związku — spowodowały wówczas, że strzelnica nie została przez Związek przyjęta.

P. Dyr. Gędziorowski, podkreślając, że popieranie rozwoju strzelectwa jest jednem ze statutowych zadań Związku, przypomniał historję powstania Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego. Komisja ta, powołana przez władze Związku w r. 1935, celem ujęcia w ramy organizacyjne myśliwskich strzelań sportowych, przystąpiła niezwłocznie, z aprobatą ówczesnego Wydziału Wykonawczego, do budowy strzelnicy, uzyskując od Bractwa Strzelców Kurkowych teren w Szczęśliwicach, wydatną pomoc Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego oraz ofiary od szeregu osób prywatnych. W ciągu jednego roku stanęła nowoczesna strzelnica o 15 przepisowych maszynach, ściśle wzorowana na strzelnicy olimpijskiej. Wybudowanie strzelnicy szczęśliwickiej umożliwiło właściwy trening polskim zawodnikom, którzy później osiągnęli mistrzostwa świata indywidualne i zespołowe. Nietylko jednak dla wybranych postawiona została strzelnica. Była ona konieczna, jako podstawa propagandy prawidłowego strzelectwa wśród ogółu myśliwych polskich. Strzelnica od początku swego istnienia nosi firmę Związku, który jednak dotychczas jeszcze oficjalnie jej nie przyjął, pozostawiając całkowity ciężar jej prowadzenia i utrzymania na barkach kilku członków Komisji.

P. Dyr. Regulski oświadczył, że obejmując stanowisko Przewodniczącego Komisji Głównej Strzelectwa Myśiwskiego, jako pierwsze swe zadanie zasadnicze rozumiał podjęcie akcji w kierunku utworzenia wzorowej strzelnicy myśliwskiej. Przystępując zaś do prac, które z miejsca potoczyły się szybkiem tempem i w ciągu roku pierwszy swój cel osiągnęły, P. Regulski był przekonany o legalności tych poczynań w znaczeniu aprobaty ze strony władz Związku. Popierając wniosek o formalne przejęcie strzelnicy na własność Związku, P. Regulski wyraził pogląd, że należycie prowadzona strzelnica nietylko nie powinna przynieść strat, ale nawet może dać pewien zysk.

P. Prezes Generał Sosnkowski zaznaczył, że dotychczasowe stanowisko władz Związku w tej sprawie bynajmniej nie poddawało w wątpliwość zasług inicjatorów i realizatorów budowy strzelnicy, którym bezsprzecznie należy się wdzięczność i uznanie; chodziło tylko o formalną stronę sprawy, czy Związek może prowadzić tego rodzaju przedsiębiorstwo, zwłaszcza, że i stan finansowy Związku nakazywał dotychczas jak najdalej idącą ostrożność w wydatkach.

P. M. Hr. Potocki przemawiał za objęciem strzelnicy przez Związek, wysunął przytem projekt, aby członkowie Związku mogli ze strzelnicy tej korzystać bezpłatnie; byłoby to jednem ze świadczeń Związku na rzecz członków. Jeśli chodzi o kwestję prowadzenia strzelnicy, to nie powinna ona nasuwać zastrzeżeń, jak nie nasuwa ich prowadzenie „Łowca Polskiego", który przecież także jest pewnego rodzaju przedsiębiorstwem.

P. Gen. Fabrycy, również popierając wniosek Komitetu Wykonawczego, podkreślił, że strzelectwa nie da się oddzielić od prawidłowego łowiectwa; propagowanie zatem strzelectwa myśliwskiego jest jednem z ważnych zadań Związku; strzelnica powinna stać się źródłem tej propagandy. Dla członków Związku należałoby pomyśleć o pewnych przywilejach w korzystaniu ze strzelnicy; narazie mogłaby to być ulga w opłatach, a w przyszłości — jeśli warunki na to pozwolą — nawet korzystanie bezpłatne.

Za przejęciem strzelnicy przez Związek wypowiedzili się nadto P.P.: Red. Garczyński, R. Hr. Potocki, Inż. Sroczyński i Prof. Gieysztor.

Naczelna Rada Łowiecka uchwaliła przejąć strzelnicę myśliw-

ską w Szczęśliwicach na własność Związku, administrowanie zaś nią powierzyć Warszawskiej Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej.

W łączności z tem wstawiono do budżetu na rok 1939 kwotę zł. 4.600.— na pokrycie należności, związanych z przejęciem strzelnicy, oraz sumę zł. 1.200 na wydatki, związane z prowadzeniem tej strzelnicy.

Ustalono przytem, iż zasiłek na utrzymanie strzelnicy przyznany został jedynie na rok najbliższy, w latach zaś następnych strzelnica prowadzona być ma na zasadzie samowystarczalności.

Zlecono Komitetowi Wykonawczemu przygotowanie na najbliższe posiedzenie Rady Naczelnej projektu organizacji zarządu strzelnicą z zachowaniem zasady samowystarczalności oraz z uwzględnieniem ulg w opłatach za korzystanie ze strzelnicy dla członków Związku.

Rozpatrzono następnie dodatkowe wnioski Komitetu Wykonawczego i wprowadzenie do budżetu na rok 1939 pozycyj: zł. 2.000.— do dyspozycji Komitetu Wykonawczego z przeznaczeniem na działalność programową (wystawy regjonalne, konkursy, doraźna pomoc Sekcjom i Komisjom Związkowym) oraz zł. 2.000.— na akcję wydawniczą.

Rada Naczelna stwierdziła, że wystawy i konkursy regjonalne, winny być uwzględnione w planie akcji programowej, który ustalony ma być przy następnym punkcie porządku dziennego, przyczem uznano, że związane z tem subwencje centrali winny pomieścić się w ogólnej sumie zł. 8.000.—, przewidzianej w budżecie na propagandę.

Po dyskusji nad kwestją zamierzonych przez Związek wydawnictw z zakresu wiedzy łowieckiej, Naczelna Rada Łowiecka— korzystając ze względnie pomyślnej sytuacji finansowej — uchwaliła wstawić do budżetu na rok 1939 sumę zł. 2.000.— na rozpoczęcie działalności wydawniczej, której prowadzenie zlecono redakcji „Łowca Polskiego". Przewidziana suma stanowić ma obrotowy kapitał wydawniczy. Do dysponowania tym kapitłem upoważniony będzie Komitet Wydawniczy, któremu redakcja „Łowca Polskiego" obowiązana jest przedstawiać dokładny plan zamierzonego wydawnictwa.

P. Chłapowski zgłosił wniosek o wprowadzeniu do preliminarza budżetowego pewnej sumy z przeznaczeniem na subwencje w zakresie hodowli psów myśliwskich i pomoc w urządzaniu konkursów tych psów.

Rada Naczelna uznała, że wydatki tego rodzaju mogą być, w miarę możności, uwzględniane w budżetach poszczególnych Oddziałów.

P. Prezes Generał Sosnkowski zakomunikował, że Prezydjum w imieniu Naczelnej Rady Łowieckiej, zadeklarowało na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej zł. 3.000.— i sumę tę złożyło czekiem na ręcę Komisarza Generalnej Pożyczki.

Decyzję Prezydjum Naczelna Rada Łowiecka jednomyślnie przyjęła do zatwierdzającej wiadomości.

W czasie przerwy, do sali obrad przybyli zaproszeni P.P. Józef Kiszkurno i Mjr. Stefan Sztukowski, członkowie ekipy polskiej, która zdobyła zespołowe mistrzostwo świata w międzynarodowych zawodach strzelecko - myśliwskich w Luchacowicach (Cz.-Sł.), w roku 1938.

Po przemówieniu P. Dyr. Regulskiego, Przewodniczącego Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego, który podkreślił znaczenie sukcesów mistrza świata z r. 1936, P. Kiszkurno, i zwycięskiej ekipy polskiej z r. 1938, P. Prezes Generał Sosnkowski wręczył P. Kiszkurno złoty medal Międzynarodowej Federacji Strzelecko-Myśliwskiej, na ręce zaś P.P. Kiszkurno i Mjr. Sztukowskiego złożył dla całej ekipy wyrazy podziękowania i uznania w imieniu Naczelnej Rady Łowieckiej oraz życzenia dalszych sukcesów.

Po przerwie obiadowej, obrady rozpoczęto od wysłuchania sprawozdania z działalności Komisji Propagandowej, które referował Przewodniczący tej Komisji, P. Skrzypek. Tekst sprawozdania ogłoszony będzie oddzielnie w „Łowcu Polskim". Następnie P. Skrzypek przedstawił plan dalszej akcji propagandowej i związany z tem projekt zużytkowania sumy, przewidzianej w budżecie.

Po zrekapitulowaniu przez P. Prezesa Generała Sosnkowskiego dyskusji, w której głos zabrali P.P.: M. Hr. Potocki, Hr. Tyszkiewicz, Prof. Gieysztor, Red. Garczyński, Madeyski, Kamieński i Skrzypek.

Naczelna Rada Łowiecka przyjęła do wiadomości sprawozdanie Komisji Propagandowej, wyrażając swe uznanie dla energji i inicjatywy Przewodniczącego Komisji, P. Skrzypka.

Rada Naczelna zaleciła uwzględnienie w programie prac Komisji Propagandowej następujących punktów:

a) popieranie i subwencjonowanie regjonalnych wystaw łowieckich w ten sposób, aby co roku odbywała się przynajmniej jedna wystawa, w określonej kolejności Oddziałów;

b) subwencjonowanie w razie rzeczywistej potrzeby i w wypadku niewątpliwej wartości propagandowej — wyjazdów przedstawicieli na konkursy i zawody międzynarodowe;

c) doprowadzenie do tego, by komunikaty regjonalne były wydawane regularnie przez wszystkie Oddziały Związku i rozsyłane wszystkim zrzeszonym myśliwym oraz podawane do wiadomości innym członkom;

d) umieszczanie, za wiedzą i zgodą Komitetu Wykonawczego, w prasie codziennej inspirowanych artykułów na tematy ogólne, związane z polityką łowiecką;

e) współdziałanie i pomoc w wydawaniu „gazetek ściennych" dla szkół ludowych na temat ochrony zwierzyny łownej i ptactwa, w porozumieniu z Państwową Radą Ochrony Przyrody.

Na cele powyższe należy zarezerwować odpowiednie kwoty przy podziale środków budżetowych, przewidzianych na propagandę. W związku z tem w przedłożonym planie budżetowym Komisji Propagandowej należy skreślić pozycje:

1) podręcznik dla Łowczych i Podłowczych Powiatowych — zł. 500.—,

2) odbitki artykułów propagandowych z „Łowca Polskiego" — zł. 500.—,

3) druk prospektów „Łowca Polskiego" — zł. 100.—,

4) druk małych tablic czasów ochronnych — zł. 200.—,

5) plakaty propagandowe dla rolników — zł. 300.—,

6) propaganda radjowa — zł. 500.—,

7) wycinki z gazet codziennych — zł. 300.—.

Z sum tych zł. 2.000 przeznaczyć należy na pokrycie wydatków, związanych z punktami a, b, c i d, zaś zł. 400.— na wydatki z punktu e.

W łączności z omawianiem programu propagandy, na wniosek P. Hr. Tyszkiewicza, Rada Naczelna zleciła Komitetowi Wykonawczemu podjęcie kroków w kierunku uzyskania obniżki cen amunicji myśliwskiej dla członków Związku na zawody strzeleckie i treningi do zawodów.

Zgodnie z propozycją Komitetu Wykonawczego, Rada Naczelna postanowiła zwołać Zwyczajne Walne Zgromadzenie Związku na dzień 18 czerwca. W dniu 17 czerwca odbędą się w godzinach przedpołudniowych zebrania Sekcyj: Ochrony i Hodowli Łosia, Ochrony Niedźwiedzia, Ochrony Bobra, posiedzenia Komitetu Wystaw i Pokazów Łowieckich oraz Kapituły Odznaczeń Łowieckich, w godzinach popołudniowych zaś — posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckjei.

Rada Naczelna, na podstawie §§ 30 pkt. j. i 41 pkt. c. statutu, ustaliła, że na Walne Zgromadzenie Związku przysługiwać

będzie Oddziałom Związku prawo wysyłania delegatów, wybranych przez Walne Zgromadzenia Wojewódzkie, według następującego klucza:

przy liczbie	do 300 członków	— 1 delegata
" "	" 301 do 600 członków	— 2 delegatów
" "	" 601 do 1000 członków	— 3 "
" "	" 1001 do 1500 członków	— 4 "
" "	ponad 1500 członków	— 5 "

Rada Naczelna utrzymała nadal zasadę, że za podstawę obliczeń służyć ma liczba członków zwyczajnych, za których Oddziały wpłaciły Związkowi składki członkowskie za rok ubiegły.

W myśl postanowień § 27 statutu, w roku bieżącym ustępuje przez losowanie 1/3 część wybieralnych członków Naczelnej Rady Łowieckiej.

Losowania dokonał na prośbę P. Prezesa, P. Mrgr. Wielopolski, jako najmłodszy z członków Rady.

Wylosowani zostali P.P.: Wiceprezesi — Gen. Fabrycy, Hr. Potocki i Inż. Skulski, oraz Członkowie — Red. Garczyński, Prof. Gieysztor i Inż. Sosonko.

Ustalenie kandydatur na miejsce wylosowanych Wiceprezesów i Członków — odłożono do następnego posiedzenia.

Sprawa odznaczeń łowieckich zamieszczona została na porządku dzisiejszego posiedzenia Rady Naczelnej dla informacji, wobec napływających od Oddziałów przynagleń w sprawie nadawania odznaczeń.

Na żądanie władz państwowych i w zastosowaniu się do obowiązujących przepisów, Związek jeszcze w roku ubiegłym złożył Ministerstwu Spraw Wewnętrznych do zatwierdzenia wzory odznaczeń łowieckich i uchwalony przez Walne Zgromadzenie Związku regulamin ich nadawania.

Sprawa ta napotkała poważne trudności, zarówno w odniesieniu do wzorów, jak i regulaminu nadawania odznaczeń. Po usilnych staraniach ze strony Komitetu Wykonawczego, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Ministerstwem Spraw Wojskowych — wyraziło gotowość zatwierdzenia wzoru i ogólnych zasad nadawania „Złomu". Natomiast wzór „Medalu Zasługi Łowieckiej" kwestjonowany jest w dalszym ciągu, medal taki bowiem, noszony na wstążce, podobny byłby do odznaczeń państwowych.

Komitet Wykonawczy w dniu 6 marca r. b. zaprojektował nowy wzór „Medalu Zasługi Łowieckiej", przyjmując za podstawę odznakę dotychczasową medalu, a zastępując jedynie wstążkę przez wykonaną w metalu (złotą, srebrną i bronzową) gałązkę świerczyny. Zmieniony w ten sposób wzór przedłożono Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

Rada Naczelna wyjaśnienia te przyjęła do wiadomości.

Rozpatrzono następnie zgłoszone wnioski.

P. Dr. Lardemer złożył wniosek o częściową zmianę uchwały Naczelnej Rady Łowieckiej z dnia 13 marca r. 1939, którą nadano Małopolskiemu Towarzystwu Łowieckiemu we Lwowie delegację Związku z § 7 statutu; zmiana ta polegałaby na wyłączeniu województwa krakowskiego z zakresu terytorjalnego tej delegacji. Wniosek ten P. Dr. Lardemer uzasadnił stwierdzeniem, że dotychczasowa zależność organizacyjna od Lwowa stanowi w województwie krakowskiem bardzo poważną przeszkodę w normalnej pracy dla celów i rozwoju Związku, oraz że szerokie koła myśliwych województwa krakowskiego żywo odczuwają potrzebę utworzenia w Krakowie własnego, odrębnego Oddziału Związku. Starania, podjęte w kierunku uzgodnienia powyższego wniosku z władzami Małopolskiego Towarzystwa, nie doprowadziły do pozytywnego wyniku.

P.P. Inż. Sroczyński i Hr. Tyszkiewicz zaproponowali odroczenie tej sprawy i zażądanie opinji od Małopolskiego Oddziału Związku, który o postawieniu tego wniosku na porządek dzisiejszego posiedzenia Rady Naczelnej nie wiedział.

Po wypowiedzeniu się P.P.: Prezesa Generała Sosnkowskiego, Red. Garczyńskiego, Gen. Fabrycego, R. Hr. Potockiego i Dyr. Gędziorowskiego, powzięto uchwałę następującą:

Zgodnie z propozycją przedstawicieli Małopolskiego Oddziału Związku, Naczelna Rada Łowiecka postanowiła decyzję w sprawie wniosku P. Dr. Lardemera odłożyć do posiedzenia swego w dniu 17 czerwca r. b., na którem sprawa ta zostanie załatwiona definitywnie.

Naczelna Rada Łowiecka uznała za wskazane, aby Walne Zgromadzenie Krakowskiego Oddziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego dało formalny wyraz swej opinji co do projektowanego utworzenia w Krakowie odrębnego Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego.

Jednocześnie Rada Naczelna postanowiła zwrócić się do Małopolskiej Oddziałowej Rady Łowieckiej z apelem, aby zajęła stanowisko, umożliwiające Radzie Naczelnej rozstrzygnięcie tej sprawy na zasadzie zgodnego porozumienia obu stron interesowanych.

Rozpatrzenie wniosku Baranowickiej Powiatowej Rady Łowieckiej o utworzenie odrębnego Oddziału Związku dla województwa nowogródzkiego odłożono do następnego posiedzenia wobec braku wiadomości od Oddziału Wileńskiego o wyniku rozpisanej przezeń w tej sprawie ankiety do Powiatowych Rad Łowieckich województwa nowogródzkiego.

Rada Naczelna, na wniosek P. Inż. Knothego i zgodnie z opinją Komitetu Wykonawczego, uznała za wskazane podjęcie już obecnie prac przygotowawczych do organizacji działu łowieckiego na Wystawie Powszechnej w Warszawie, przewidzianej na rok 1944.

Wniosek Małopolskiej Oddziałowej Rady Łowieckiej w sprawie organizowania regjonalnych wystaw łowieckich i zawodów myśliwsko-strzeleckich co roku na terenie innego Oddziału — w pierwszej części załatwiony już został pozytywnie przy ustalaniu programu działalności propagandowej; drugą część wniosku Rada Naczelna przekazała Komitetowi Wykonawczemu również do uwzględnienia.

W sprawie wniosku Małopolskiej Oddziałowej Rady Łowieckiej o ujęcie strzelectwa myśliwskiego w jednolite ramy organizacyjne Komitet Wykonawczy przedłożył Radzie Naczelnej następującą opinję:

Powołana przez władze naczelne Związku Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego działa już od roku 1935 i corocznie organizuje narodowe zawody w strzelaniach myśliwskich, według regulaminu, zatwierdzonego przez Naczelną Radę Strzelectwa w Polsce. Nadto Komisja ta organizuje udział zawodników polskich w zawodach międzynarodowych, o czem świadczą sukcesy takie, jak zdobycie indywidualnego mistrzostwa świata przez P. Kiszkurno w r. 1936 i osiągnięcie mistrzostwa zespołowego przez ekipę polską w r. 1938. Uznając celowość organizowania nadal corocznych zawodów narodowych strzelecko-myśliwskich, a nadto zawodów wojewódzkich oraz zawodów powiatowych — o ile powiaty posiadają strzelnice i odpowiedni sprzęt — Komitet Wykonawczy proponuje wniosek ten przekazać Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego, której skład winien być uzupełniony.

Rada Naczelna zleciła Komitetowi Wykonawczemu przedłożenie w porozumieniu z wymienioną Komisją na najbliższe swe posiedzenie programu organizacji strzelectwa myśliwskiego.

Małopolska Oddziałowa Rada Łowiecka zgłosiła nadto wnioski, dotyczące legitymacyj i składek członkowskich. Legitymacje,

w myśl wniosku, winny być stałe lub z ważnością kilkoletnią, coroczne bowiem wydawanie legitymacyj pociąga za sobą koszty wypisywania i porta. W odniesieniu do składki członkowskiej — wniosek zmierza do wprowadzenia zasady, aby od osób, przystępujących w drugiej połowie roku kalendarzowego, można było pobierać połowę skadki rocznej. Komitet Wykonawczy złożył opinję, że w obydwu tych sprawach winien być zachowany stan dotychchczasowy; roczne legitymacje, stanowiące zarazem pokwitowanie wpłaty rocznej składki, są najprostszym środkiem zarówno w utrzymywaniu ewidencji członków w aktualności, jak i w sprawdzaniu wpłaconych składek; roczna składka członkowska na rzecz Związku jest zbyt niska, aby dokonywać jej podziału na półrocza, zwłaszcza, że nowowstępujący członkowie nie opłacacają wpisowego, podział taki wreszcie skomplikowałby zarówno kontrolę składek, jak i sposób ich kwitowania.

Naczelna Rada Łowiecka podzieliła pogląd Komitetu Wykonawczego, pozostawiając w obydwu tych sprawach stan dotychczasowy.

Wniosek Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej o subwencję na zorganizowanie regjonalnej wystawy łowieckiej przekazano Komitetowi Wykonawczemu do uwzględnienia z budżetu propagandowego.

Na wniosek Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Rada Naczelna, na podstawie § 37 statutu, nadała Oddziałowi Śląskiemu nową nazwę: Śląski Oddział Polskiego Związku Łowieckiego, Śląskie Towarzystwo Łowieckie.

W myśl wniosku Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Rada Naczelna uchwaliła poprzeć podjęte przez Oddział Śląski starania o rozciągnięcie na obszar województwa śląskiego mocy obowiązującej rozporządzenia Pana Prezydenta R. P. z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem.

Przedłożone przez Warszawską Wojewódzką Radę Łowiecką wnioski P. Płk. Tyszewicza, dotyczące zmian statutu Związku, Rada Naczelna przekazała Komitetowi Wykonawczemu, zlecając opracowanie opinji w tej sprawie przed Walnem Zgromadzeniem Związku.

Zgodnie z wnioskami Sekcji Ochrony i Hodowli Jelenia, Rada Naczelna postanowiła złożyć Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych memorjał, wykazujący potrzebę zarządzeń, zmierzających do usunięcia grożącego stanowi jeleni w Polsce niebezpieczeństwa. Opracowanie tego memorjału zlecono Komitetowi Wykonawczemu.

Na wniosek P. Hr. Tyszkiewicza, Rada Naczelna postanowiła zlecić wszystkim Radom Oddziałowym podjęcie u P.P. Prezezesów Sądów Apelecyjnych starań, by wydane zostały zalecenia surowego karania kłusownictwa, wnykarstwa i nielegalnego handlu zwierzyną, wobec zastraszającego wzrostu tego rodzaju przestępstw, połączonych często z niebezpieczeństwem, zagrażającem życiu strażników łowieckich.

W myśl uzupełniającego wniosku p. dr. Lardemera, Rada Naczelna postanowiła zlecić wszystkim Radom Oddziałowym wystąpienie do P.P. Prokuratorów Sądów Apelacyjnych o wydanie zarządzeń rzecznikom prokuratorskim, by wnoszone były odwołania od wyroków karnych w sprawach przestępstw łowieckich w wypadkach, gdy wymiar kar jest uderzająco niski lub gdy wykonanie kar jest zawieszane pomimo jawnej złośliwości i złej woli sprawców.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA KOMITETU WYKONAWCZEGO Z DNIA 11 MAJA R. 1939.

Obecni P.P. : Przewodniczący Prof. Józef Gieysztor, Maurycy Hr. Potocki, Red. Walenty Garczyński, Inż. Herman Knothe, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Andrzej Śliwiński, Kazimierz Świderski; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Protokół posiedzenia Komitetu Wykonawczego z dnia 18 kwietnia r. b. zatwierdzono bez zmian.

W związku z przesunięciem terminu posiedzenia Naczelnej Rady Łowieckiej, materjał na posiedzenie to przygotowany został uzupełniony nowemi wnioskami, które Komitet Wykonawczy rozpatrzył i zaopinjował.

Komitet Wykonawczy przyjął do wiadomości treść pisma do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie potrzeby uregulowania kwestji zezwoleń na łapanie zwierzyny żywej w celach gospodarczych.

Przyjęto również do wiadomości treść pisma do Departamentu Ceł Ministerstwa Skarbu w sprawie stosowania ułatwień przy wwozie do Polski broni myśliwskiej przez myśliwych zagranicznych.

Po rozpatrzeniu opinij niektórych Oddziałów w sprawie terminów ochronnych dla kaczek i kaczorów, Komitet Wykonawczy doszedł do przekonania, że na przeciąg roku bieżącego zmian w tych terminach wprowadzać nie należy.

Postanowiono zaproponować Naczelnej Radzie Łowieckiej zwołanie Walnego Zgromadzenia na dzień 18 czerwca r.b.

W dniu 17 czerwca rano odbyćby się mogły zebrania Sekcyj: Ochrony i Hodowli Łosia, Ochrony Niedźwiedzia, Ochrony Bobra, w południe posiedzenia Komitetu Wystaw i Pokazów Łowieckich oraz Kapituły Odznaczeń Łowieckich, wieczorem zaś— posiedzenie Naczelnej Rady Łowieckiej.

Na I Międzynarodowy kongres prasy i pisarzy łowieckich, który odbędzie się w Liége, w dniach 27 czerwca — 1 lipca, postanowiono delegować P. Red. Garczyńskiego i P. Zabiełłę.

Komitet Wykonawczy ustalił nakład nagrodzonej na konkursie broszury propagandowej w ilości 25.000 egzemplarzy.

W przedstawionym przez P. Prof. Gieysztora wzorze kordelasu do stroju łowieckiego uznano za konieczne wprowadzić zmiany, polegające na skróceniu rękojeści i gardy, wydłużeniu pochwy i przesunięciu odznaki członkowskiej z rękojeści na pochwę.

Z SEKCJI OCHRONY I HODOWLI JELENIA.

W dn. 12 marca r. b. odbyło się posiedzenie Sekcji O. i H. Jelenia pod przewodnictwem inż. T. Śliwińskiego i przy udziale pp.: z Dyrekcji Naczelnej L.P. — dyr. W. Grzegorzewskiego, inż. H. Knothego i inż. W. Lindemanna, z Polskiego Związku Łowieckiego—A. hr. Bielskiego, red. W. Garczyńskiego, dyr. M. Hofmana, St. Hoppego i inż. A. Rowińskiego.

Obrady Sekcji poświęcone były omówieniu palącej sprawy stwierdzonego powszechnie pogarszania się jakości jeleni wogóle, a karpackiego w szczególności. Po wysłuchaniu wyczerpującego referatu Regjonalnej Sekcji O. i H. Jelenia przy Małopolskim Oddziale Związku, koreferatu inż. T. Śliwińskiego i referatu p. K. Chłapowskiego wraz z uchwałami zebrania Łowczych i Podłowczych Powiatowych Wielkopolskiego Oddziału P.Z.Ł. w tej samej sprawie, zebranie przeprowadziło wszechstronną dyskusję nad sposobami poprawy istniejącego stanu rzeczy, w wyniku której powzięto szereg wniosków co do środków

zaradczych, które należałoby zastosować, zarówno w łowiskach prywatnych jak i państwowych.

Wnioski Selekcji zostały rozpatrzone przez Radę Naczelną P.Z.Ł. i stosownie po powziętej uchwały wystosowano do M-twa Rolnictwa i R. R. niżej podane pismo.

DO MINISTERSTWA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH W WARSZAWIE.

Powołana do życia przy Polskim Związku Łowieckim Sekcja Ochrony i Hodowli Jelenia, gromadząca najwybitniejszych znawców tej dziedziny łowiectwa i hodowli, odbyła specjalne posiedzenie członków, poświęcone omówieniu sprawy środków zaradczych, mogących poprawić dzisiejszy stan rzeczy w tej dziedzinie.

Stan ten może być sformułowany krótko, jako nadmiar ilościowy jeleni i ogromne pogorszenie się ich jakości. Stosuje się to zarówno do jeleni górskich, karpackich, jak i do jeleni nizinnych. Przyczyna obu zjawisk jest ta sama: zaniedbanie odstrzału selekcyjnego, tak łań jak i byków, oraz pogoń za zdobyciem rokordów w wieńcach, wskutek czego reproduktorami nowego pokolenia są jelenie słabe lub zbyt młode.

W największej ostoi naszych najlepszych jeleni, w Karpatach Wschodnich, oba te momenty doznały szczególnego pogorszenia w latach ostatnich, z chwilą kiedy lasy państwowe odstąpiły od systemu wydzierżawiania łowisk i przeszły na sprzedaż odstrzałów jeleni - byków.

Miejsce dawnych, często przez kilka pokoleń utrzymujących się dzierżawców rewirów łowieckich, znających doskonale swoje łowisko i swoje jelenie, posiadających wyćwiczoną straż łowiecką, zajęli przypadkowi myśliwi, zainteresowani jedynie w zdobyciu rekordowych wieńców. Administracja państwowa, mająca na oku przedewszystkiem aksploatację drzewostanu, nie miała czasu, a często i kwalifikacyj, do prowadzenia gospodarki hodowlanej. Równocześnie zawodowi przewodnicy, kształceni w ciągu szeregu lat przez dzierżawców łowisk, zastąpieni zostali przez przygodnych „podprowadzaczy", rekrutujących się przeważnie z pomiędzy kłusowników i wykorzystujących zbyt często prawo wstępu do rewiru dla zdobycia i dla siebie jelenia

Ten stan rzeczy, łącznie ze stwierdzonem i na pozostałych obszarach Polski karłowaceniem jeleni przy równoczesnym wzroście ich ilostanu, nie usprawiedliwionego warunkami należytego odżywiania, spowodował złożenie przez Sekcję Ochrony i Hodowli Jelenia, w obradach której przyjmowali udział również przedstawiciele Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych wniosków, mających na celu poprawę dzisiejszego układu stosunków.

Podzielając całkowicie wyrażone we wnioskach Sekcji poglądy, Polski Związek Łowiecki pozwala sobie przedstawić odpis ich Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych w przeświadczeniu, że, jako opiekun łowiectwa polskiego, stającego się coraz bardziej konkretną częścią majątku narodowego, Ministerstwo zechce poprzeć inicjatywę Polskiego Związku Łowieckiego, dążącą do poprawy stosunków w tej dziedzinie, przez zalecenie Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych uwzględnienia wyrażonych we wnioskach dezyderatów.

WNIOSKI POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO W SPRAWIE OCHRONY I HODOWLI JELENIA.

I. Należy zmierzać ku ograniczeniu sprzedaży odstrzałów indywidualnych na rzecz wprowadzenia, tak w lasach państwowych jak w wydzierżawionych prywatnych, długoletnich dzierżaw, conajmniej na lat 9.

II. Koniecznem jest zmniejszenie stanu ilościowego jeleni, a podniesienie jakości ich przez odstrzał redukcyjny łań, a selekcyjny byków. Należy dążyć do unormowania stosunków płci, doprowadzając go stopniowo do 1 : 1. Normując stan ilościowy, w pierwszym rzędzie trzeba odstrzelić cielęta-łańki. Dorosłe łanie odstrzeliwać po okresie cielenia się, odbijając sztuki bezpłodne i jałówki. Ilość jeleni przeznaczonych do redukcyjnego odstrzału powinny określać w łowiskach prywatnych Wojewódzkie Rady Łowieckie, a w łowiskach państwowych władze administracyjne lasów państwowych.

III. Odstrzeliwanie jeleni selekcyjnych winno być dozwolone w ciągu całej jesieni i zimy, oraz latem w czasie polowań na rogacze. Odstrzał selekcyjny nie może być dokonywany podczas polowań z naganką. Należy, aby Łowczowie Powiatowi baczyli, by pod pretekstem jeleni selekcyjnych nie odbijano w terminach ochronnych jeleni przyszłościowych lub łownych. W razie zabicia jelenia nieselekcyjnego w okresie nie wyznaczonym dla odstrzału jeleni łownych, Wojewódzka Rada Łowiecka winna być uprawniona do postawienia wniosku o odebranie karty łowieckiej myśliwemu, który się tego dopuścił. Wieńce jeleni selekcyjnych winny być przez myśliwych przedstawiane do kontroli Łowczemu danego okręgu lub Administracji Lasów Państwowych i dostarczone na doroczny Wojewódzki (Oddziałowy) pokaz wieńców selekcyjnych.

IV. W związku z normowaniem stanu jeleni koniecznem jest prowadzenie dokładnej statystyki płowej zwierzyny, tak w lasach państwowych jak i w prywatnych. Nad wykonaniem i przedłożeniem statystyki z lasów prywatnych czuwać winni Łowczowie Powiatowi.

V. Zakaz przedwczesnego odstrzeliwania jeleni przyszłościowych i ograniczenie odstrzału jeleni łownych. W celu umożliwienia wglądu w sposób dokonywania odstrzału w poszczególnych łowiskach, Wojewódzkie Rady Łowieckie powinny corocznie wspólnie z Dyrekcjami Lasów Państwowych dokonywać przeglądu wieńców wszystkich jeleni ubitych w ciągu ostatniego roku. Należy przytem powołać regjonalne Komisje dla ważenia i oceny wieńców, któreby w myśl postanowień C.I.C. dostarczyły wraz z protokółami odnośne dane Sekcji Ochrony i Hodowli Jelenia przy Polskim Związku Łowieckim, celem ogólnego zestawienia i przesłania C.I.C.

VI. Reorganizacja przewodników łowieckich w czasie rykowiska, polegająca na stopniowej zamianie dotychczasowych „podprowadzaczy", nie leśników, przez specjalnie wyszkoloną służbę leśną.

W tym celu byłoby wskazanem, aby Wojewódzkie Rady Łowieckie wspólnie z Dyrekcjami Lasów Państwowych organizowały co jakiś czas, np. co dwa lata, specjalne kursy dla młodszych gajowych, praktykantów, świeżo awansowanych leśniczych i dozorców łowisk, gdzie bytuje płowa zwierzyna. Wskazane są również perjodyczne, obszerniejsze wykłady o płowej zwierzynie w szkołach dla średniej i wyższej kategorji leśników.

VII. Walkę z kłusownictwem należy usprawnić drogą wprowadzenia ściąganych przymusowo kar pieniężnych w dwukrotnej wysokości opłat, jakie są płacone za odstrzał przez myśliwych.

VIII. Należy dążyć do usprawnienia łowisk pod względem karmowym, zwłaszcza w rewirach o jednostajnym drzewostanie iglastym, w szczególności:

a) przez zaprowadzenie podszycia krzewiastego, gdzie są po temu warunki, oraz zakładanie poletek pastewnych,

b) przez przygotowanie wiosną liściarki dla zadawania jej w końcu zimy,

c) przez zainstalowanie lizawek, jednej przynajmniej na 100 ha lasu,

d) przez obsadzanie nieużytków, nieużywanych dróg leśnych, przestrzeni poszkółkowych — krzewami lubianemi przez jelenie i obsiewanie roślinami z rodzaju motylkowych, jak groch leśny, trwały łubin i in.

IX. W celu zapewnienia spokoju w ostojach jeleni należy dążyć do a) ograniczenia ruchu turystycznego drogą specjalnego znakowania i urządzania regjonalnych konferencyj Wojewódzkich Rad Łowieckich z organizacjami turystycznemi, b) zakazu pasania bydła w ostojach jelenia, c) zakładania rezerwatów — mateczników.

X. W celu odciążenia łowisk nizinnych z nadmiaru płowej zwierzyny w zachodnich dzielnicach Polski oraz w ostojach jeleni nizinnych, sąsiadujących z ostojami jeleni górskich, należy poczynić próby przesiedlenia części tej zwierzyny do odpowiednich łowisk na wschodzie Polski, lecz tylko do takich, w których nie bytują łosie.

XIV Narodowe Zawody Strzelectwa Myśliwskiego

W dniach 7, 8 i 9 lipca rb. odbędą się na strzelnicy Polskiego Związku Łowieckiego na stadionie w Szczęśliwicach pod Warszawą XIV Narodowe Zawody Strzelectwa Myśliwskiego, obejmujące w swym programie strzelanie śrutem (do rzutków) i kulą (do jelenia, małego dzika i do 2-ch dzików dubletami) o Mistrzostwo Warszawy, Mazowsza i Polski na 1939 r.

Kierownictwo zawodami powierzone zostało P. Kazimierzowi Kamieńskiemu.

PROGRAM ZAWODÓW:

7.VII.1939 od godz. 9 r.

Konkurencja 100 rzutków — 15 mtr. o nagrodę Mistrzostwa Warszawy,
Jeleń — 100 mtr. 25 strzałów,
2 małe dziki — 50 mtr. — 15 strzałów podw.,
mały dzik — 50 mtr. — 25 strzałów.

8.VII.1939 od godz. 9 r.

Konkurencja — 200 rzutków *) odl 15 mtr. c nagrodę Mistrzostwa Mazowsza,
Jeleń. Jak w dniu poprzednim,
2 dziki — ditto,
mały dzik — ditto.

9.VII.1939 od godz. 9 r.

Konkurencja — 300 rzutków **) odl 15 mtr. o nagrodę Mistrzostwa Polski,
Jeleń. Jak w dniu poprzednim,
2 dziki — ditto,
mały dzik — ditto.

Na zawodach obowiązuje Regulamin Narodowych Myśliwskich Strzelań Sportowych wydany przez Kom. Gł. Strzelectwa Myśliwskiego.

Nagrody i żetony oraz dyplomy rozdane zostają 9 lipca 1939 roku o godz. 19.30 w lokalu Polsk. Zw. Łowieckiego, Nowy Świat 35.

Na zawodach tych zostanie wyznaczona ekipa (jeden lub dwa zespoły po 4-ch zawodników) do konkurencyj o Międzynarodowe Mistrzowstwo Europy i Świata indywidualne i zespołowe w strzelaniu do rzutków.

*) W tem 100 rzutków z I dnia.
**) W tem 200 rzutków z I i II dnia.

JUBILEUSZ BRACTWA STRZELCÓW KURKOWYCH W WARSZAWIE

Dnia 25 bm. o godz. 9 rano rozpocznie się uroczystem nabożeństwem i poświęceniem sztandaru w archikatedrze obchód 525-lecia powstania Bractwa Łuczników w Warszawie.

Data ta łączy się z istniejącym najstarszym dokumentem, wydanym w 1539 r., a więc przed 400 laty, nadającym przywilej królowi kurkowemu oraz z rocznicą wskrzeszenia Bractwa Strzelców Kurkowych przed 20 laty.

Bractwo Strzelców Kurkowych — najstarsza organizacja w Warszawie, obchodzi więc w dniach 25—27 b.m., pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Profesora Ignacego Mościckiego i Naczelnego Wodza Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza swój 525-letni jubileusz, na który zapowiedzieli swój przyjazd delegaci Bractw Kurkowych z całej Polski.

Bractwo Strzelców Kurkowych w Warszawie, zawsze w swej ideologji niezmienne, w ostatnich czasach podjęło rozszerzoną akcję w dążeniu do przygotowania najszerszych warstw społeczeństwa do zaszczytnego posłannictwa — obrony kraju, gdy zajdzie tego potrzeba.

Zanim napiszemy o uroczystościach jubileuszowych, a przy tej okazji o programie Bractwa, życzymy Mu na dzień 525-lecia owocnej działalności społecznej i narodowej przez długie lata szczęśliwej przyszłości w silnej Ojczyźnie.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego, tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE

Bażantyna — karma dla kur bażancich woljerowych, zwiększająca znacznie nośność, oraz **karma dla młodych bażantów.** Liczne zaświadczenia z kilkoletnich prób najpoważniejszych bażantarni. Zamówienia przyjmuje **S. Kamocki. Milanówek, Grudowska 12. Tel. 31-47.**

Dwa rasowe jamniki czarne podpalane, trzymiesięczne' piesek i suczka, po dobrych, rasowych rodzicach, do sprzedania. Adres: Odyńca 29 m. 4, tel. 409-38

Gryfonkę rasową, drugie pole, doskonale ułożoną, ładny exterjer, sprzedam okazyjnie. Tel. 4.52- 44 od godz. 9—11.

Hodowla „Splendor" w Zielonce odstąpi szczenięta ras myśliwskich z rodowodami po wybitnych rodzicach, oraz psy podtresowane i ułożone na suche i mokre tereny. Hodowla poleca czołowe reproduktory wszystkich ras psów myśliwskich. Ustala dobór selekcyjny do kopulacji suk. Informacje: Warszawa. Krucza 34 m. 20, tel. 8.51-14.

Szkockie Teriery, 10 tygodniowe, wysokiej krwi, ewentualnie z rodowodem, 80 — 100 zł. sprzeda Dr. Zenkteler, Śmigiel — Wielkopolska.

Szczeniaki settery irlandzkie pełnej krwi z rodowodami, rodzice, dziadkowie premiowani, do sprzedania z końcem. czerwca. Warszawa, Puławska 99c, tel. 441-99.

Stary, znakomity miód. rzadki trunek, poszukiwany przez znawców, **z 1867 roku,** już tylko 50 butelek, w oryginalnem opakowaniu, **okazyjnie do sprzedania,** w całości lub częściowo. Wiadomość: „Łowiec Polski" telefon 666-29. Piśmiennie: Warszawa, Nowy Świat 35. „Łowiec Polski",

Szczenięta półroczne pointery niemieckie, tanio sprzedam: Prudy, Wysokowszczyzna, Wileńskie. T. Oleszyna

Szorstkowłose w pierwszym polu oraz szczenięta dwumiesięczne po sławnych psach: Rolf z Borczek „Hella-Ruhrtren" oddam pieski 60 —, suczki 50.— zł. Zarodowa hodowla Fr. Ciupiński, leśniczy, Lechlin, poczta Skoki.

Z powodu zmiany posady sprzedam tanio sukę 3 psa 4 polem niem. krótkowłosy na wodzie i polu. Kozłowski, leśniczy, Leśnictwo Norówki, p. Wilczyn.

10-cio tygodniowe jamniki ostrowłose, ojciec RDH 377553 R matka 346055 R., oboje polują pierwszorzędnie na śladzie, w jamie i na dzika. Sprzeda po zł. 40.— i 45. Limburg-Stirum, Rataje, poczta Łobżenica, pow. Wyrzysk, Pomorze.

MYŚLIWI
zbierajcie
wystrzelone
łuski na F.O.N.
i oddawajcie je Łowczym Powiatowym

MYŚLIWI!

NADSYŁAJCIE FOTOGRAFJE DO REPRODUKCJI W „ŁOWCU POLSKIM"